13

Stron 12 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 20 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 6 czerwca 1948 r. Nr 23 (152)

W NUMERZE
między innymi:

B. Mejlach — O badaniach literatury
M. Buczkówna, J. Miller, T. Różewicz — Wiersze
A. Litwin — Analiza pracy
J. Piórkowski — Mój przyjaciel
T. Orlewicz — Sygnały depresji gospodarczej U.S.A.
W. Jażdżyński, D. Gałaj, M. Koliba, P. Chmura — Wieś i naród
S. A. Pieniążek — Dlaczego nie wrócili?
S. Cwenar, J. Pogan — Dyskusja o nauczycielstwie
L. Sobierajski, J. Falenciak, E. Mądrowa — Sprawy krytyki

Maria Żmigrodzka

„Literackie uwłaszczenie chłopa"

(o „Chamie" Orzeszkowej)

„Niema wdzięczniejszej roli nad serce naszego chłopa, aby tylko umiejętna, kochająca i wytrwała ręka wzięła się do jej uprawy, a zaiste stokrotny plon wyda".

Antoszka — w Księdze Pamiątkowej ku czci Orzeszkowej.

„Cham" jest zjawiskiem interesującym zarówno dla historyka literatury, jak i dla badacza dziejów idei, czy historii społecznej Polski.

Eliza Orzeszkowa

Pierwszy będzie musiał zwrócić uwagę na ostrożną jeszcze próbę przełamania pozytywistycznego kanonu powieści realistycznej, środowiskowej, dającej szeroko zakrojone malowidło społecznych stosunków epoki—na rzecz powieści psychologicznej, koncentrującej uwagę czytelnika wokół wewnętrznych perypetii bohaterów. Historyk idei nie będzie mógł pominąć „Chama" mówiąc o charakteryzującej schyłek wieku XIX „ludomanii".

Pierwszym jej wybitniejszym przejawem na terenie literackim była „Placówka" Prusa i „Cham" Orzeszkowej. O ile Prus utrzymał swego „chłopa walczącego" w granicach realizmu pisarskiego, o tyle Orzeszkowa „chłopa świętego" mogła ukazać tylko w perspektywie stylizacji. Obok **„biologicznej siły trwania"** odkryto więc **„świętość ludu"** — dwa najważniejsze komponenty idealistycznej ludomanii.

Prof. Pigoń nazwał „Chama" „literackim uwłaszczeniem chłopa". „Uwłaszczenie" to dokonało się w specyficznych warunkach, które zadecydowały o jego rodowodach i obliczu.

„U ŹRÓDEŁ MOCY..."

W połowie lat osiemdziesiątych pozytywizm w sposób widoczny stracił już oparcie i kredyt moralny wśród inteligencji polskiej. — Stało się jasnym, że rozwój przemysłu nie przyniósł zapowiadanych przez pozytywistycznych entuzjastów dobrodziejstw, a mieszczaństwo, nawet w oczach „młodych" poczęło z „bohaterów nowych czasów", przekształcać się w warstwę sytych groszorobów. Zrujnowane ziemiaństwo, uboga inteligencja, zwłaszcza urzędnicza, rzemiosło wypierane przez rozwój przemysłu, drobnomieszczaństwo zagrożone przez wielki kapitał, proletaryzująca się wieś i żyjący w skrajnej nędzy zrewolucjonizowany proletariat — oto bilans kilkunastu lat popowstaniowych. Ugodowość polityczna również nie przyniosła oczekiwanych korzyści, ani nie poprawiła sytuacji narodowej żywiołu polskiego. W tych warunkach zrozumiały staje się fakt, że życie umysłowe kraju poczęło kształtować się pod wpływami licznych ideologii **antykapitalistycznych i antyurbanistycznych.** Ferment antypozytywistyczny najwyraźniej wystąpił w środowisku młodzieżowym.

„Pokolenie młodsze rychło odczuło, że ruch pozytywistyczny nie zadawala wszystkich jego pragnień i dążeń" — pisze Józef Hłasko, omawiając początki działalności J. L. Popławskiego. Już w 1884 r. paru młodych z Popławskim na czele wdarło się do „Prawdy", gdzie przemyciło kilka heretyckich artykułów. „Potrzeba jakiejś nowej syntezy, jakiejś myśli, któraby łączyła zerwaną nić tradycji z nowymi wymogami życia, rozpierała młode piersi", — pisze dalej Hłasko. — „Jakaż wielka radość zapanowała wśród znacznej garści młodej inteligencji, gdy po kilku oderwanych wystąpieniach poszczególnych w końcu r. 1886 ukazał się w Warszawie nowy tygodnik p. t. „Głos". Wchłanialiśmy chciwie te młode i silne tony, jakie ze szpalt jego rozbrzmiewały, upajaliśmy się tym nowym, a tak odpowiadającym naszym wewnętrznym potrzebom, sposobem stawiania kwestii, i dążyliśmy do osobistego poznania tych młodych zapaśników, których już za swoich przedstawicieli uważaliśmy".

„Młode i silne tony" nowego tygodnika nie były jednak jego wyłącznym wynalazkiem. Hasło „lud", z którym wystąpił „Głos" nurtowało już wcześniej grupki inteligencji, skupionej w Towarzystwie Oświaty Ludowej (od r. 1881), lub prowadzącej działalność wśród unitów, przebijało coraz silniej w twórczości czołowych pisarzy okresu, Prusa i Orzeszkowej.

Wystąpienie „Głosu" nadało tylko oficjalny kierunek i teoretyczną podbudowę tym sporadycznym przejawom nowej ideologii.

U źródeł jej oprócz rozczarowania do prokapitalistycznej ideologii pozytywizmu, leżało także ogólne poczucie niepewności i lęk przed kryzysem, wywołane pierwszymi nieznacznymi jeszcze **zahamowaniami, jakim uległ rozwój przemysłu polskiego na skutek postępów uprzemysłowienia Rosji.** Rynki wschodnie na terenie Cesarstwa stanęły pod znakiem zapytania.

Grupa „Głosu" zdawała sobie sprawę z tego, że powrót do prymitywnej gospodarki przedkapitalistycznej jest niemożebny. Z drugiej strony już wówczas orientowano się, że nowe rynki zdobywa się „krwią i żelazem". Imperializm polski był oczywiście wykluczony układem warunków politycznych. Patriotyzm nie pozwalał jeszcze postawić na imperializm rosyjski i w cieniu Rosji wdzierać się na rynki świata. Uczyniła to dopiero w 20 lat później rozczarowana do wszelkich półśrodków burżuazja endecka.

„Głos" dostrzegł inne wyjście. Dotychczas przemysł polski produkował tylko na zbyt, nie był nastawiony na zaspakajanie potrzeb ludności miejscowej. Stąd nędza kraju i zależność od zmiennej koniunktury na rynkach zewnętrznych. Należy więc wzmóc chłonność rynku wewnętrznego, **uczynić konsumentem chłopa.** Zdolność nabywczą chłopa można było spotęgować tylko przez intensyfikację produkcji rolnej—stąd postulat regulacji stosunków na wsi i **podnoszenia oświaty,** zwłaszcza rolniczej. Jednocześnie jednak grupa „Głosu", zatrwożona pierwszymi przelotnymi zaburzeniami w toku produkcji i wynikającym stąd przejściowym bezrobociem, pragnęła **zapobiec dalszej proletaryzacji wsi** i związać chłopów z ziemią. Projektowano powstrzymać dalszy rozwój przemysłu, — utrzymać rolniczą strukturę Polski, przyczem „lud" miał być nie tylko podstawą społecznej budowy, ale interesom jego należało podporządkować interesy innych klas. Utopijny ten i pełen sprzeczności program negował konsekwencje regularnego rozwoju kapitalizmu, który wprawdzie nieuchronnie rozbija i proletaryzuje wieś, ale jednocześnie tylko on — w społeczeństwie przedsocjalistycznym—jest w stanie wzmóc zdolność wytwórczą wsi.

„Głos" wystąpił do utopijnej walki o warunki egzystencji kapitalizmu w masce **antykapitalistycznej, antymieszczańskiej, ludomańskiej.**

Nie tylko świeżo przeszczepiona kultura zachodniego mieszczaństwa, ale i tysiącletnie tradycje kultury chrześcijańsko - szlacheckiej zostały uznane za obce ogromnej większości narodu. „...Lud ma swą własną religię, własną moralność, własną politykę, więcej — własną naukę, słowem kulturę własną, której czynniki składowe nie mogą być uważane jako niższe formy odpowiednich kategorii kultury naszej..." — pisze Popławski — „...w najogólniejszym chyba zarysie wskazać można, w przeciwstawieniu z indywidualizmem, anarchią i wiecznym niepokojem myśli kultury uprzywilejowanej, uczucie gromadzkie, ład wewnętrzny, spokojną twórczość kultury ludowej".

Odkryto nowe **„źródła mocy".**

„Głos" drukuje iuvenilia Kasprowicza i zachwyca się nimi niepomiernie: „Wiersz jego to nie brząkanie sentymentalnej mandoliny, albo kwilenie pastuszej fujarki, ale ostry, chropawy, gruby głos surmy bojowej, podobny do głosu owych rogów, którymi nawoływali się w puszczach nadgoplańskich starzy Polanie, kiedy szli gromadą przeciw Popielom i Niemcom".

RODOWODY RODZIMEJ UTOPII

Starsza generacja pozytywistów krzywiła się mocno na te młodzieńcze zachwyty. Chmielowski drwiąco doszukiwał się w wywodach „Głosu" echo prasłowiańskich uniesień Zoriana Dołęgi Chodakowskiego, opłakującego skrzywienie kultury przodków przez germańsko - rzymskie wpływy. Romantyczna chłopomania Zoriana i entuzjastów z Towarzystwa Demokratycznego tkwiła korzeniami w **dogmacie „natury ludzkiej", w micie zacnych Nipuanów i w antycywilizacyjnej krytyce kapitalizmu J. J. Rousseau'a,** odziedziczonych po filozofii wieku XVIII. Dziedzictwo to przejęli młodzi narodowcy, podejmujący chętnie spadek ideowy Towarzystwa Demokratycznego. Zwłaszcza echa poglądów Rousseau'a, specyficznie skrzyżowane ze szlachecką niechęcią do miasta i kultury mieszczańskiej, bliskie zarówno polskim masonom i „Szubrawcom", jak i romantykom kołatały się długo w świadomości kulturalnej polskich postępowców w Warszawie i na Litwie, by w sprzyjających warunkach wystąpić na plan pierwszy w ideologiach chłopomańskich.

Druga połowa XIX wieku dostarczyła przejawów krytyki kapitalizmu, nierównie bardziej sprecyzowanych, choć równie utopijnych.

Głośne poglądy **Ruskina** docierały do Polski poprzez tłumaczenia francuskie i ogólnoeuropejską anegdotę kulturalną na długo przed pojawieniem się polskich przekładów. Krążyły wieści o damach z najwyższej arystokracji angielskiej, przyodzianych w grube płótna z ruskinowskich warsztatów ręcznych, mających wyzwolić świat pracy od przekleństwa zmechanizowanej produkcji fabrycznej. Opowiadano o drukarniach, zakładanych przez Ruskina na wsi, „na świeżym powietrzu" i o rozwożeniu książek po Anglii ręcznymi wózkami dla poderwania egzystencji kolei żelaznych. **Namiętny pamflet na brzydotę kapitalistycznego świata, kult artystycznej twórczości ludu, naiwna negacja techniki** wpłynęły w dużej mierze na ideologię antypozytywistycznej inteligencji. Gdy w r. 1900 dawny pozytywista Ochorowicz poprzedził przedmową polski przekład „Gałązki dzikiej oliwy" (nap. w r. 1866), witał w niej pożądane antidotum na przerosty pozytywizmu: „Czyż nie jest na miejscu protest cichej a zdrowej wsi przeciw gwarnym a dusznym miastom, pracy indywidualnej przeciw pracy zbiorowej, etyki przeciw martwej oświacie...?" Ruskin odegrał jednak swoją rolę już dużo wcześniej, u świtu antypozytywistycznego przełomu.

W ostatnim czterdziestoleciu XIX wieku wśród postępowej inteligencji rosyjskiej ogromne wpływy zdobyła ideologia tzw. **narodniczestwa.** Narodnicy swe antykapitalistyczne i rewolucyjne stanowisko ujawnili przede wszystkim w **negacji kapitalizmu,** jako koniecznego ogniwa w ekonomicznym rozwoju Rosji oraz w **kulcie chłopstwa** i szczątkowych, rozkładających się w systemie kapitalistycznym form dawnej wspólnoty gromadzkiej tzw. obszczyny. W ludowym gminowładztwie upatrywali zarodek nowego ustroju i zbawienie świata przed nędzą i chaosem społecznym, jakie niesie kapitalizm.

Naiwny kult „duszy chłopa" i „chłopskiego ładu", nie licząca się z rzeczywistością wiara w możliwość zatrzymania historii, akcenty antyurbanistyczne i antycywilizacyjne — czyniły z narodniczestwa kierunek utopijny, nie mogący zaważyć na konkretnych wynikach ruchu rewolucyjnego, niemniej jednak niezmiernie atrakcyjny dla zagrożonej kapitalizmem inteligencji. Narodniczestwo wywarło pewien wpływ na **inteligencję polską,** oczywiście nie bezpośredni (chociaż „Krytyka" w r. 1902 wykazywała wyraźnie narodniczeskie rodowody programu „Głosu"), bo w specyficznych warunkach polskich tylko rewolucjonizm socjalistyczny wysuwał postulat jedności ruchu na obszarze Cesarstwa.

O wiele szerszy zasięg, niż z konieczności uboczne i nieoficjalne echa politycznych walk narodników, miała nowa doktryna Tołstoja, głoszona w drukowanych zagranicą wypowiedziach publicystycznych, opowiadaniach i przypowieściach. Skrajności dogmatu o „niesprzeciwianiu się złu", bezwzględna negacja cywilizacji, asceza i rezygnacja — na gruncie polskim nie znalazły tak bezwzględnych wyznawców, jak wśród tołstojowców Rosji i Niemiec. Pojawiły się nawet dość ostre krytyki, ale **utwory Tołstoja spotęgowały znakomicie katastrofizm, moralny wstręt do cywilizacji miejskiej i ludomańskie nastroje inteligencji polskiej.**

Wszystkie, wymienione tu doktryny i idee wychodzące bądź z konkretnej analizy sytuacji gospodarczej, bądź z moralistycznej krytyki kapitalizmu jako ustroju działającego rozkładowo na etykę społeczeństwa, kształtując świadomość kulturalną kraju odegrały ogromną rolę w rozwoju literatury. Szczególnie teoria Tołstoja, że źródła zła należy szukać w sobie, a nie w otaczającej rzeczywistości, mająca niewielkie szanse powodzenia wśród zrewolucjonizowanych robotników rosyjskich, a przejęta chętnie przez zdezorientowaną inteligencję, na terenie literatury oddziaływała w tym kierunku, co szereg czynników, rozbijających formę powieści realistycznej. Konkretna analiza stosunków społecznych ustąpiła miejsca rozważaniom problemu dobra i zła, dociekaniom nad metafizycznym źródłem nędzy i cierpienia. Powieść psychologiczna poczęła konkurować z powieścią środowiskową. Stoimy u wrót moderny.

UCIECZKA NA JASNĄ POLANĘ

„Po nocy nieprzespanej i w części przepłakanej przypominałam sobie znanego mi na wsi chłopa, jego dziwne koleje, cierpienia, zawody, jego wielką duszę i siadałam do pisania „Chama" — opowiada Orzeszkowa o latach 1887-8, gdy tworzyła „Nadniemeńskiego rybaka", nazwanego później „Chamem". Oto druga wersja „nakrzepiania serc". „Cham" rozpoczyna serię utopijnych hagiografii antykapitalistycznych świętych („Dwa bieguny", „Australczyk"). Ucieczka przed chaosem, nędzą, brzydotą życia miejskiego w świat spokoju, prostoty, czystości i piękna powiodła się Orzeszkowej lepiej, niż Tołstojowi, który nigdy nie mógł się wyzwolić od niepokojących sprzeczności tkwiących w „przeklętych zagadnieniach" chłopskiego życia Rosji. Ale też białoruska „Jasna Polana" była w o wiele mniejszym stopniu poddana wpływom nowej cywilizacji, niż wieś wielkoruska, lub wieś Królestwa. Nie było tu warunków na rozwój przemysłu. Nieurodzajność gleby uniemożliwiała intensyfikację rolnictwa w celach eksportowych. Mała gęstość zaludnienia odsuwała w przyszłość problem emigracji sił roboczych. Wszystko to utrzymywało wieś białoruską w **kręgu prymitywnej gospodarki naturalnej** i chroniło od wpływów kapitalizmu. Procesy, które rozbiły wieś Królestwa i wyrzucały sproletaryzowaną ludność do miast, które utrzymywały stałe wrzenie wśród chłopstwa rosyjskiego, nie tknęły jeszcze wsi białoruskiej. Bierna i zrezygnowana, pozbawiona zarówno nadziei na poprawę losu, jak i chęci buntu, bytowała **w ramach tradycyjnej spójni rodzinno-sąsiedzkiej.** Nic nie prowokowało do wrzenia, nic nie zagrażało demokratyzmowi szarej biedy, która zdala wydawała się rozczarowanym wrogom „złotego cielca" błogosławioną prostotą i umiarkowaniem. Rolę potrzebnego ziemiaństwu kułactwa, mogącego dzierżawić zbędne działki dworskie, oraz stanowić dla niego oparcie w

Tołstoj jako kosiarz

walce politycznej odgrywała polska szlachta zagrodowa. Niedorozwój przemysłu nie stwarzał zapotrzebowania na ręce robocze. Drobnorolna wieś nie mająca szans na odpływ nadmiaru ludności do miasta, stanowiła niezbędny dla ziemiaństwa rezerwuar taniej siły roboczej, która wówczas decydowała o egzystencji dworu. W tych warunkach bliska Orzeszkowej ideologia zatrzymania chłopa na wsi, uchronienia go przed rozkładowym działaniem kultury miejskiej, znalazła pełne zrozumienie we wszystkich warstwach społeczeństwa.

Orzeszkowa z rozlicznych odmian ludomanii przejmuje przede wszystkim **paniczny lęk „Głosu" przed proletaryzacją wsi i wiarę w cenne wartości kultury ludowej**, a z linii tołstojowskiej ideę walki nie tyle o poprawę sytuacji ekonomicznej czy pozycji prawno-politycznej chłopa, ile **o uznanie dla jego duchowej dojrzałości i świętości**. Zwłaszcza w odniesieniu do tej ostatniej sprawy zbieżność ideologii Orzeszkowej i Tołstoja jest zastanawiająca, nawet tam, gdzie nie może być mowy o bezpośrednich wpływach. Można np. przytoczyć jedno z publicystycznych wystąpień Tołstoja przeciwko karze chłosty dla chłopów, gdzie atakowana jest nie zasada klasowej hierarchii, lecz możność poniewierania jednostkami, które pod względem moralnym stoją nieporównanie wyżej, niż ich sędziowie.

Powieść o „chamie" to właśnie powieść o prawości i świętości chłopskiego życia, o wyższości „chłopskiego ładu" nad chorobliwym życiem ulicy miejskiej. To kanonizacja typu kulturowego popańszczyźnianej wsi białoruskiej, jej struktury społecznej i związanych z tym norm moralności.

Tematycznie rozpracowała Orzeszkowa w „Chamie" moment zderzenia się tradycyjnej, patriarchalnej, zamkniętej struktury społecznej gromady wiejskiej, i przedstawicielki proletariatu miejskiego, traktowanego przez wieś jako margines społeczny („włóczęgi"). Wieś odczuwa niechęć do ludzi luźnych: „Skąd ty ją wziął? czy od baćków wziął? czy z chaty rodzonej?..." wydziwia na Frankę Awdocia. Grożą oni bowiem rozsadzeniem więzi gromadzkiej, wnoszą element niepokoju i zamętu. Jednak sprawa Franki nie zostawiła głębszych śladów ani w umysłowości wsi, ani nawet w trybie życia czy filozofii życiowej Pawła, przez którego drogę przeszła „ognistą błyskawicą, czy burzliwą nawałnicą". Do walki z zepsuciem miejskim stanął bowiem niewzruszony system moralności gromady. **Gdzie szukać źródeł tej moralności?** Tu sprawa się komplikuje — i na jaw wychodzi ideologiczne i formalne załamanie powieści.

W KRĘGU TRZECH PORZĄDKÓW

Orzeszkowa wyznaczyła swej wsi żywot na przecięciu trzech „porządków etycznych" — **prawa Bożego, prawa natury i prawa gromady.** Te trzy porządki jednocześnie mają oddziaływać na Pawła, tłumacząc tym jego niezwykłą dojrzałość duchową. W powieści w sposób konsekwentny i przekonywujący wystąpił jednak **tylko jeden porządek.**

Paweł w rozmowie z Awdocią podaje trzy niezawodne środki pedagogiczne, jakie ma zamiar zastosować wobec skruszonej Franki: „A toż modlitwa święta, a toż napominanie i robota! Żebyż już i modlitwa święta, i napominanie, i robota złego nie przemogły, chybaby koniec świata nastąpił". Wszystkie te środki pedagogiczne mają właściwie charakter jednorodny: — **nacisku społecznego.** Napominanie to presja opinii społecznej. Praca to związanie buntownicy siecią obowiązków, wypływających nieuchronnie z jej pozycji społecznej, uzależnionej od wypełniania tych obowiązków. Wreszcie „modlitwa święta" w interpretacji Pawła nie ma na celu izolacji jednostki w ramach indywidualnego przeżycia religijnego, lecz jej zadaniem jest wzmocnienie przyjętej przez społeczność etyki systemem sankcji nadnaturalnych.

Te źródła moralności wiejskiej wystarczyłyby dla konsekwentnego przeprowadzenia konfliktu etyki gromadzkiej i indywidualnego amoralizmu mieszczanki w dawnej, dociekliwej socjologicznie, twórczości Orzeszkowej. Prawo gromady określa w sposób doskonały przedstawicielkę opinii wsi, mądrą Awdocię. Cechują ją uczciwość, solidarność sąsiedzka, życzliwość wobec ludzi, współczucie dla cierpienia ludzkiego, dobroć dla najbliższych, pracowitość, nieposzlakowana cnota niewieścia, szacunek dla patriarchalnej hierarchii rodzinnej i obyczaju wiejskiego. Awdocia jest jedną z najlepszych artystycznie i najżywszych postaci książki; oczywiście jednak postać ta, aczkolwiek niezaprzeczenie dodatnia, do apoteozy ludomańskiej nie nadawała się. Bohater musiał otrzymać sankcję obu wyższych porządków. **Obie te koncepcje filozoficzne artystycznie zawiodły.**

Porządek religijny katolickiej wsi białoruskiej występuje tu w wyjątkowo **enigmatycznej postaci.** Nie istnieje ani jako system dogmatyczno - filozoficzny, ani jako kultowo-obrzędowy element życia wiejskiego. Nie stanowi też podbudowy etycznego systemu Pawła, którego wytyczne moralności dadzą się w najogólniejszy sposób sprowadzić do przykazania przebaczenia i czynnej miłości wobec wszystkiego, co żyje. Wskazania te mogłyby w równej mierze wynikać z buddyzmu, jak i z doktryny Tołstoja. Religia, nie oddziaływując zatem realnie, odgrywa raczej rolę czynnika dekoracyjnego, który **nie tyle tłumaczy, ile sankcjonuje** kodeks duchowy jednostek.

Jeszcze mniej konsekwentnie przedstawia się rola **„natury"**, jako źródła moralności. Orzeszkowa starała się zatrzeć natrętnie występujący w powieści element moralności gromadzkiej. Wyizolowała Pawła, o ile to możliwe, z wioskowej wspólnoty, uczyniła z niego marzyciela, odludka, związanego bardziej z życiem przyrody, niż sąsiedzkiej gromady. „Mnie niebo chatą, a rzeka żoną" — mawiał „cham" przed poznaniem Franki.

A jednak wychowawcza rola „wody głębokiej i gwiazd wysokich" nie została w powieści dostatecznie uwyraźniona. Parę autorskich niekonsekwencji, a nade wszystko wprowadzenie przez Orzeszkową ulubionego motywu **„dzikości"**, wykazało kruchość i ornamentacyjny charakter koncepcji „natury".

Na przestrzeni od „Pierwotnych" do „Australczyka" rozwijała Orzeszkowa w licznych wariantach **przeciwstawienie sobie dwóch cywilizacji.** Powierzchownej, egoistycznej, goniącej za efektem — a więc dzikiej i cywilizacji „uspołecznionej", wykwitającej w społeczeństwie pracowników tworzących nowe wartości kulturowe, żyjących w kręgu praw i obowiązków, narzuconych przez warunki życia zbiorowego. Franka, pełna poczucia swej wyższości umysłowej wobec „głupich chamów", to w gruncie rzeczy amoralna dzikuska, wnosząca zamęt w środowisko ludzi o głębokiej kulturze społecznej.

Gdy Franka, natychmiast po wyjeździe państwa, chce sprowadzić się do chaty przyszłego męża, Paweł uśmiecha się: — „Dziecina, oj, biedna ty dziecina! Co ty wiesz? Widzę ja, że wiele ty nawet nie wiesz! Jakby w lesie urodziła się, jakby pomiędzy ludźmi nie żyła. Jakże, ty w mojej chacie żyć będziesz, kiedy my jeszcze przed ludźmi nie jesteśmy mąż i żona? Oczy by tobie w tej samej wiosce wyjedli i sprawiedliwie, bo takich rzeczy robić nie trzeba".

Scena przygotowywania trucizny rzuca najżywsze światło na prawdę moralności aspołecznej: „Nie było też w niej ani skrupułów, ani walki. Pierwszych przez całe życie swe nie doświadczała nigdy; przez całe życie ta składowa część uspołecznionej istoty ludzkiej, która budzi skrupuły i walki, była w niej nieobecną".

A więc uspołecznienie, kultura życia gromadzkiego, obowiązkowość i poczucie odpowiedzialności tworzą ostatecznie etykę wsi. **Pozaspołeczne paliatywy nie przeszły próby pisarskiego realizmu.** Wniosły jednak zamęt konstrukcyjny i skrzywiły powieść artystycznie. „Cham" nie jest w konsekwencji powieścią realistyczno-środowiskową: nadniemeński odludek zepchnął wieś na margines zainteresowań pisarki. Powieść pełna jest „miejsc niedookreślenia" społecznego. Poza tym świat duchowy „chama" został zamknięty w tak ciasnych granicach, że jest zbyt monotonny i ubogi, by stanowić centrum zainteresowania czytelnika. Ratuje powieść postać Franki, choć i tu nie dokonała Orzeszkowa ostatecznego wyboru między społecznym uwarunkowaniem typu zbrodniarza a lombrosowską koncepcją amoralnego typu kobiety-dzikuski — dziecka.

CZŁOWIEK WOLNY W DUCHU I W DUCHU WIELKI...

Chłopów cechuje — zdaniem Orzeszkowej — nie tylko wyższość moralna w porównaniu z proletariatem miejskim. Warunki życia i pracy na wsi są o wiele lepsze, zdrowsze i naturalniejsze, niż w mieście. Paweł i jego gromada pełni są pogardy dla życia miejskiego; — „pohane życie" — spluwa Paweł — „wołoczaszcze życie, kiepskie życie".

Uznaje to nawet ambitna i oczarowana miastem Franka. „Dobrze wam! — westchnęła — chatę swoją macie i zarobek niezły

Borys Mejłach

O BADANIACH LITERATURY

JEDNYM z wniosków, jakie należałoby wyciągnąć z dyskusji filozoficznej, jest konieczność wyświetlenia powiązań pomiędzy estetyką, historią literatury i sztuki oraz krytyką. Jedynie konfrontacja teorii z żywym materiałem praktyki artystycznej pozwoli nam przełamać abstrakcjonizm i schematyzm konstrukcji. Jest rzeczą znaną, że większość idealistycznych prac z dziedziny estetyki, bądź ignoruje materiał samej sztuki, bądź to używa go jedynie w charakterze sporadycznych, wygodnych przykładów. Szczególnie typowa pod tym względem jest „Estetyka" neokantysty Jonasza Kona, traktująca o rozwoju kategorii estetycznych w zupełnym oderwaniu od minimalnego choćby materiału z dziedziny sztuki. Całkowicie odmienny typ badań reprezentują materialiści. W artykułach Bielińskiego roztrząsanie problemów estetycznych wiąże się ściśle z analizą konkretnych publikacji literackich. Jego artykuł: „Rzut oka na literaturę rosyjską w 1847 r." stanowi dla swych głębokich sądów o ogólnych problemach istoty sztuki, realizmu, ludowości, powiązań między „narodowym a „ogólnoludzkim" jedną z najciekawszych kart historii estetyki. Tę samą metodę zastosował Czernyszewski i Dobroliubow. Ową tradycję należałoby przedłużyć i to nie tylko co do publikacji ściśle estetycznych ale na terenie całej nauki o literaturze, jak również w krytyce. Bez tego bowiem nie sposób budować systematycznej i syntetycznej wiedzy o sztuce. Nie znaczy to jednak, iż estetyka winna być bez reszty wtopiona w historię sztuki czy wchłonięta przez krytykę. Chodzi mi o silne związanie estetyki z badaniem historycznych przebiegów sztuki oraz jej stanu współczesnego, chodzi mi o to, by teoria, historia i krytyka zapładniały się nawzajem. Często słyszy się narzekania na niski poziom teoretyczny naszych obecnych podręczników historii literatury. Naturalnie, w porównaniu z podręcznikami przedrewolucyjnymi (reprezentowały one bądź to metodę empirycznych streszczeń, bądź to opierały się na najrozmaitszych subiektywnych schematach bardzo dziwnego autoramentu) — postęp wyraźny.

Współczesne podręczniki oparte są na zasadach naukowej periodyzacji. Sowieccy badacze odrzucili niemało reakcyjnych koncepcji naniesionych przez dawniejszą wiedzę o literaturze. Starają się wykazać rolę klasycznej literatury rosyjskiej w ruchach wolnościowych, jej światowe znaczenie, rodzimość i realizm. Jednocześnie jednak rzuca się w oczy brak głębszego wniknięcia w samo specificum przedmiotu, tj. w literaturę, jako jedną ze sztuk. Podręczniki historii literatury rosyjskiej nie wiele różnią się od historii społecznej, mimo że są to dyscypliny zgoła różne. Dzieło literackie funkcjonuje w nich jako po prostu ilustracja danej epoki historycznej Rosji. Analiza formy artystycznej to — do ostatnich czasów — parę słów o kompozycji, języku, jambach, chorejach itp. dodane jako ciekawostka po zakończeniu ogólnej charakterystyki ideologicznej autora. A przecież ideowe i artystyczne momenty dzieła są ze sobą jak najściślej zespolone, forma artystyczna to bynajmniej nie jakiś zewnętrzny owijak, ale „forma treściowa", forma aktywna, poza którą jakowyś autonomiczny artyzm nie istnieje. Teoretycznie jest to jasne już od dawna, praktycznie jeszcze o tym w naszych podręcznikach literatury głucho. Przyczyny tego stanu rzeczy szukać należy w rozdziale, jaki u nas panuje pomiędzy estetyką i historią literatury. Jedność tych dwóch dyscyplin naukowych konstatował już Czernyszewski, mówiąc, że „historia sztuki służy za podstawę teorii sztuki, ta znowu dopomaga do pełniejszego, doskonalszego wyświetlenia historii; pełniejsze rozświetlenie historii sztuki posuwa w dalszym ciągu naprzód pracę badawczą nad teorią... I tak do nieskończoności ciągnie się owa współpraca z pożytkiem dla obu dyscyplin".

Niedostateczny poziom podręczników historii literatury wypływa z niczym nieumotywowanego przekonania licznych autorów, iż teoretyczne zagadnienia są wyjaśnione i dla wszystkich oczywiste. Wystarczy jednak zestawić parę podręczników, by przekonać się, jak wielka płynność panuje w pojmowaniu tak nawet podstawowych pojęć jak obraz artystyczny, styl, metoda, klasycyzm, romantyzm, nie mówiąc już o istnym bałaganie w terminologii z zakresu wersyfikacji czy w zagadnieniach tyczących istoty języka artystycznego...

Zdawałoby się, że autor, mówiący o jakimś zagadnieniu, powinien mieć na nie ustalony pogląd, tego jednak nie widać. A przecież fakt dysponowania znacznym materiałem faktycznym daje duże szanse do pchnięcia naprzód wiedzy teoretycznej.

Historię literatury należy oprzeć na mocnych podstawach filozofii i estetyki.

Dyskusja filozoficzna wskazała na konieczność przebudowania podręczników i znacznej rewizji metod badawczych. Czyż zgarnione w przebiegu dyskusji odcinanie się analizy wąskiej — tradycyjnie przynależnej do danej dyscypliny od analizy socjologicznej nie jest charakterystyczne i dla omawianej właśnie dziedziny wiedzy?

Bezustannie powtarza się taki oto schemat:

1. Pobieżny rzut oka na stosunki społeczne i walkę klasową.

2. Autor przekonany, że wyczerpał analizę klasową przechodzi nagle do oderwanych rozważań natury estetycznej.

Ze sformułowania zadań historii filozofii podanego przez tow. Żdanowa należy wyciągnąć nieco szersze wnioski.

Walka o materialistyczny światopogląd, tj. o prawidłowe pojmowanie życia i jego praw toczyła się w specyficznej formie wzdłuż całego rozwoju sztuki. Mówiąc wyraźniej na przestrzeni całej historii literatury i historii sztuki toczy się walka o metodę, która dopomagałaby do artystycznego ujęcia życia, do prawdziwego odtworzenia rzeczywistości w sztuce, tj. walka o metodę realistyczną z całym pocztem metod antyrealistycznych. Muszę tu zaznaczyć, że obce mi jest dawno zresztą zarzucone mechanistyczne identyfikowanie realizmu z naturalizmem. Realizm określiłbym jako gnozeologiczne źródło rozlicznych typów twórczości artystycznej; możnaby go bliżej jeszcze określić jako filozoficzny ekwiwalent metody artystycznej. Prawo na wiązanie filozofii i sztuki daje nam właśnie związek sztuki jako specyficznej formy poznania z gnozeologią. Twórczość artystyczna wyraża zawsze jakieś konkretne tendencje gnozeologiczne bez względu na to, czy autor zdaje sobie z tego sprawę, czy nie. Każdy człowiek przez sam tylko udział w jakimkolwiek odcinku życia praktycznego podlega ściśle określonym prawom socjologicznym, chociaż może również dobrze nie wiedzieć o ich istnieniu — naturalnie i pisarz. Inna rzecz, że sowiecki pisarz uważa za konieczne zgłębienie principiów naukowego światopoglądu materialistycznego i świadomie stosuje go w życiu.

Toteż socjalistyczny realizm wyklucza istnienie charakterystycznego dla burżuazyjno-ziemiańskiego układu społecznego zjawiska, które by polegało na tym, że utwór odsłania prawdę życiową stojącą w zasadniczej sprzeczności z wyznawaną i publikowaną ideologią autora. (Zjawisko to zauważył Engels, gdy charakteryzował twórczość Balzaca). Nadejście innej, nowej epoki twórczości artystycznej przewidywał w 60-tych latach Dobroliubow, kiedy to pisał: „Swobodne przetwarzanie najwnikliwszych dociekań myśli ludzkiej na żywe obrazy, a łącznie z tym świadomość wyższego sensu ogólnego w każdym najbardziej choćby cząstkowym i pospolitym akcie życiowym — oto ideał — fuzja wiedzy i poezji i to w stopniu przez nikogo dotąd nieosiągniętym". Problem jedności sztuki i światopoglądu filozoficznego, co właśnie determinuje konieczność zbudowania historii sztuki i literatury na poważnych podstawach filozoficznych ma za sobą długą tradycję. Mam na myśli nie tylko filozofów i krytyków, ale i rosyjskich działaczy rewolucyjnych, Plechanowa. Wiadomo, że liczni pisarze - realiści wyraźnie zdawali sobie sprawę z łączności literatury z filozofią, zaprzeczali zaś jej najczęściej pisarze o światopoglądzie idealistycznym (np. Żukowski, który przeciwstawiał rozsądkowi mistyczną „latarnię wyobraźni", Fet, kiedy twierdził że „prawda artystyczna posiada bardzo niewiele wspólnego z innymi prawdami"). A jednak twórczość ich wskazuje niezbicie na najściślejszy związek spekulatywnego spojrzenia na rzeczywistość z utworem jako dziełem sztuki. Rzecz w tym, żeby nie tylko analizować rozkład sympatii czy antypatii w filozoficznym światopoglądzie autora, o których ten ostatni informuje czytelnika, ale odsłaniać filozoficzno - artystyczne tendencje, jakie twórczość obiektywnie wyraża. Często i gęsto okaże się wtedy, iż pisarze subiektywnie opowiadający się po stronie idealistycznej filozofii w twórczości swej ulegali oddziaływaniu praw, wrogich reprezentowanemu przez siebie światopoglądowi.

Żeby zrozumieć to zjawisko, musimy mimo wszystko przejść na teren badań właściwości sztuki, pojmowanej, nie jako forma passywna, lecz aktywna. Forma w sztuce nie jest czymś w stosunku do treści, obojętnym. Fakt, o którym mówiliśmy, że rzeczywistość przedstawiona w dziełach dawnych pisarzy jest niejednokrotnie sprzeczna z ich społeczno - politycznymi poglądami, wypływa z differentia specifica sztuki realistycznej, która wymaga:

1. konkretności ujęcia,

2. przedstawienia żywych charakterów w typowym kontekście.

W sztuce realistycznej rozstrzygnięcie zagadnienia stosunku subiectum do obiectum, przypadkowego do zwykłego, typizacji, zbieżna jest z rozstrzygnięciami tych problemów przez filozofię materialistyczną. Owo zrozumienie realistycznej zasady typizacji jako ekwiwalentu materialistycznej tezy o konieczności oddzielenia „istotnego" od „przypadkowego" posiadał już Dobroliubow, który pisał: „wielkość spekulatywnego umysłu i wielkość geniuszu poetyckiego polega na tym, iż przy spojrzeniu na przedmiot jeden i drugi — natychmiast rozróżni cechy istotne od przypadkowych, a zatem powiąże je w swym rozpoznaniu prawidłowo". Charakter realizmu w sztuce zależy od jakości i szerokości wiedzy o życiu, jaką rozporządza autor i od jego uczuciowego stosunku do przodujących idei epoki i pragnień ludu. Sprzeczności dostrzegane w światopoglądzie i w metodach artystycznych dawniejszych realistów są wynikiem sprzeczności w łonie samej rzeczywistości historycznej, z czego wynika, że nie sposób rozpatrywać ogólnych ani też częściowych problemów sztuki w izolacji od stosunków historyczno - społecznych i walki klas. W związku z tym powinniśmy wychodząc od marksistowsko - leninowskiego pojmowania dialektyki treści i formy, badać także konkretne przejawy aktywności formy artystycznej i wpływu jej na treść.

Wszystkie te zagadnienia wymagają rozpatrzenia specjalnego. Krótkość artykułu pozwala mi na bardzo tylko ogólne postawienie sprawy. Wydaje mi się jednak, że konieczność filozoficznego ujęcia historii sztuki jako nieustannej walki o realistyczne wypowiedzenie rzeczywistości, nie ulega wątpliwości. Walkę tę toczy realizm z subiektywnym romantyzmem, symbolizmem, impresjonizmem (nie mówię tu o romantyzmie progresywnym, który jest jednym z nieodzownych elementów realizmu).

Za punkt wyjścia przy analizie dwóch zasadniczych tendencji twórczości artystycznej winno służyć znane zdanie Lenina o „rozdwojeniu świadomości ludzkiej", o tym, że „podejście umysłu ludzkiego do każdego zjawiska nie jest bynajmniej proste, bezpośrednie, optyczne; nie jest to akt martwy, ale akt złożony, rozdwojony, zygzakowaty, zawierający w sobie między innymi możność odlatywania od życia na skrzydłach wyobraźni". Dwie zasadnicze tendencje sztuki jako pochodne dwóch typów poznania często występują w twórczości tego samego artysty, świadczą one o sprzecznościach jego świadomości klasowej.

Zadaniem historyka jest pokazanie, jakie siły społeczne wyznaczały te tendencje i przeciwieństwa.

Przetł. **T. Chróścielewski**

jak pan żyć sobie możecie. To wcale co innego niż całe życie włóczyć się ze służby na służbę, cudze kąty wycierać, od ludzkich kaprysów zależeć i ludzkie złości znosić". — Wieś daje więc swobodę i niezależność...

Tak oto nowe treści społeczne przeniknęły do **starego wzoru osobowego „poczciwego kmiotka"**, obijającego się od setki blisko lat po literaturze moralizatorskiej dla chłopów pańszczyźnianych i czynszowych. Kmiotka tego znamy dobrze. Jest pobożny, pracowity, posłuszny, skromny, zadowolony ze swego położenia, ochędożny, miłosierny, spokojny, łagodny i z reguły zawsze „zdrów i wesół". Do wioski swej jest przywiązany, miastem gardzi i boi się go; ani mu przyjdzie do głowy grzeszna i zgubna myśl porzucenia wsi dla szukania niepewnego szczęścia w mieście. Gdy kmiotek otrzymał wolność i ziemię na własność, okazało się, że jedynie na wsi może być nie tylko zacny i szczęśliwy, ale jednocześnie i wolny. Orzeszkowa sugeruje, że w porównaniu z proletariatem miejskim, związanym tysiącem nici skomplikowanych zależności społeczno-ekonomicznych z pracodawcami, chłop cieszy się pełnią swobody. Orzeszkowa tę teorię **wiejskiego sobiepaństwa** rozwija z uporem. Dla pewności, żeby wszystko jak najbardziej „niezależnie" wyglądało, nie pokazuje Orzeszkowa całości spraw wiejskich, ani dworu, nie doprowadza Pawła do zetknięcia się z „państwem".

W stosunkach z „państwem" głosi „cham" zresztą inną etykę, niż etyka rzetelnego poddanego lub wiernego sługi. Jest to moralność uczciwego kontrahenta w umowie o najem pracy. Surowo gromi Frankę za przeklinanie chlebodawców i za chęć wykręcenia się od roboty — „co państwu swemu przyrzekła, to i spełnić powinna. Do ostatniej minuty służyć im powinna, potem zaś, no, skoro za mąż wychodzi, to i oni sami rozumieją, że odprawić się musi". Stosunki między klasami w sielankowym wydaniu regulować ma rzetelność i zrozumienie wzajemne.

ZBRODNIA TO NIESŁYCHANA...

Jedną z najbardziej zabawnych konwencji krytycznych, jaka ustaliła się we wszystkich bez wyjątku opracowaniach „Chama", jest stwierdzenie, że powieść „nie obfituje w nadmiar niezwykłych wydarzeń", że są to „dzieje niby proste". Ta jednogłośna opinia krytyków może mieć tylko źródło w niezwykle **opanowanym i powściągliwym toku narracji**, pozbawionym wszelkiego elementu sensacji, który punkt ciężkości przenosi na przygody duchowe bohaterów, nie zaś na relację o faktach. Taki typ narracji, usuwający wszelkie elementy niezwykłości i patosu, konieczny był, by wraz z innymi czynnikami powieści przeciwdziałać patetycznej i koturnowej w założeniu postaci Pawła, umożliwić wmontowanie „żywotu świętego" w ramy pospolitego obrazu z nizin społecznych.

Tymczasem w małżeństwie Kobyckich dzieje się dość dużo „niezwykłych" rzeczy, przynajmniej, „jak na wieś i na dzień powszedni". Porachujmy: dwa romanse, ucieczka wiarołomnej żony i powrót z „lakajskim" dzieckiem, początki obłędu, usiłowanie zabójstwa, wykupienie zbrodniarki z rąk policji i wreszcie samobójstwo, nie licząc kłótni, bójek i pedagogicznych zabiegów Pawła, wspomaganych radą Awdoci: „Biej Pauluk!"

Nie jest to osobliwością „Chama". Oparcie konstrukcji tematycznej na **sensacyjnej, często autentycznej historii zbrodni**, lub przynajmniej wielkiej miłości, czy wielkiego nieszczęścia, jest nieodzownym kanonem wszystkich „chłopskich" utworów Orzeszkowej.

Człowiek wsi bywał przemycany w powieściach szlacheckich jako jeden z aktorów w trzech jedynie rolach: dziewczyny uwiedzionej przez pana, starego sługi, który wyhodował na ręku panicza, czasem szlachetnego „włościanina", który okrył się chwałą w walce za Ojczyznę i uratował życie panu. Po to, aby gromada wiejska, jako autonomiczne tematycznie środowisko powieściowe, mogła budzić „interes artystyczny", nie wystarczała egzotyka etnograficzna. Podobnie jak sentymentalny mieszczanin w powieści XVIII w., tak i XIX-wieczny chłop polski musiał wylegitymować się przy wstępie na Parnas **„zdolnością do wyższych uczuć i wielkich namiętności"**. Dotychczas jednak w pozytywistycznej twórczości Orzeszkowej konwencja „zbrodni i namiętności" wmontowana była doskonale w ramy jej koncepcji rozkładu sił społecznych. Orzeszkowa ukazywała kłębiące się na nizinach siły zbrodni czy buntu, wywołane krzywdą społeczną i ciemnotą, grożące zachwianiem podstaw budowy społecznej. Zbrodnia czy bunt (Jasiuk z „Nizin", Dziurdziowie, Bąk i in.) — to były produkty nienaturalnych warunków rozwoju środowiska wiejskiego. Przerażały swym ścisłym, deterministycznym uwarunkowaniem społecznym.

„Cham", stanowi stanowczy zwrot w tym zakresie. Zbrodnia przychodzi tu z zewnątrz, by na chwilę zamącić pogodę, i spokój sumienia wsi szczęśliwej. Wieś jest właśnie **ostoją społecznego ładu**. Doskonale zdeterminowanej środowiskowo postaci Franki przydała Orzeszkowa metafizyczną nadbudówkę problemu źródeł zła i cierpienia.

„Cham" to dziwna książka — jedyna w twórczości Orzeszkowej powieść **apologetyczna bez reszty, nie agitująca do społecznego działania**. Nawet tradycyjny rekwizyt pozytywistyczny — książka w ręku chłopa nie jest przejawem oświatowych tendencji. Książka bowiem nie może już niczym wzbogacić duchowej doskonałości „Chama". Nie trzeba wprowadzać żadnych poprawek do doskonałej struktury gromady wiejskiej.

„Nie fizyczność, nie korzenie chłopskiego bytowania obchodziły ją (Orzeszkową) w „Chamie", ale bytowania tego kwiat najprzedziwniejszy. Wydobyła ona na jaw wartości wewnętrzne chłopa" — entuzjazmuje się prof. Pigoń. Niestety, kwiatek ten przypięto do zawszonego kożucha. Było to najmniej kosztowne „uwłaszczenie chłopa".

Maria Żmigrodzka

WIERSZE

Jerzy Miller

Mieczysława Buczkówna

Tadeusz Różewicz

Mieczysława Buczkówna

PRZYJAZNYM

Nie by milczenie rozpalić do słów gasnących
ani podjąć lekko znużenie dni obecnych
pytam o zachowane wspomnienia.

Ty która przynosisz mi swoją przeszłość
przyjaciółko niespokojna intelektualistko
z taką ufnością jakbym rozumiała więcej
nie wiesz w jak kruche powierzasz się milczenie.

A twoje listy — strzępki stłumionego żalu
(gdyż by dokładniej słowa zbyt słabe)
mówią mi więcej o sprawach, które słusznie taisz.

Jak pytania rzuconego nagle, które potem
napełnia wstydem, że zbyt nieostrożne
wystrzegam się uważniejszych spojrzeń
w zachwiane w połowie zwierzenie.

Dobrze by mieć mądrość ostatecznie doświadczonych
i łagodność stanowczej wiedzy
tymczasem jednak przyjmować trzeba teraźniejszość
z odwagą a nie bezsilnym gniewem,
buntując się przeciw przesądom, zastałym formom
wznosimy nowe, które nasze dzieci strącą,
tak dojrzewa historia.
Jesteśmy dla nas w swojej pracy więcej
niż w bólu przemijania, uczuciach nietrwałych
jesteśmy w naszej pracy lepiej.
Gdy biegniesz z politycznym hasłem
bardzo otwarta, przejęta
pamiętaj, że są którzy wątpią
o tych dokładniej pamiętaj....

Tak, dodawać sobie musimy odwagi, odwagi
by ponieść lekko nie swoją tylko przyszłość.

GAŁĄZKA ŚWIATŁA

Jedyne żywe piękno
czułość spełniana w zachwycie
tak wielkim, że jest bólem umierania;
a to ręki dotyk, warg ciepło
do zbliżeń, którym granic nie ma
zniewala.
Wyrzekam się młodości
za ostra w doznaniach i ruchu,
myśl przenikliwa jak płomień
wypaliła z doświadczeń struny milczenia
dla nazywania prawdziwszym imieniem.
Dlatego gdy mówię: piękny
nie szukam kształtów gładkich
barw świeżości młodej
lecz — wyrazu.
Gdy mówię: zostań
nie by obecnością zaspokoić pragnienie
lecz odtrącić ramię przeznaczeń
świadomością i wolą.
Jedyne żywe piękno
miłość — gałązka światła
podsycana najlżejszym zbliżeniem.

Jerzy Miller

POGROM

Gdy szli szczypiący brukiew
i marchew zdartą z pól
przez cieni długich bukiet
życiu odjęci na pół
zobojętnieli nagle
na głód i werble maszyn
nie kryjąc się przed żagwią
ogni w obręczach faszyn.

Ściany padały martwe,
balkony, tam piwnice
żarem nagrzane, sypkie karty
kolejnej śmierci ulic.

Już tylko druty
biegną doniikąd
i w cegłach startych
fajansów skorupy,
wspominają życie,

to nie usta paniki
wielokrotne w dźwięku.
to już tylko ręka
na żelastwie płotu
martwa i bez ciała.

PIEŚŃ WIELKANOCNA

Ceną zbyt gorzkich doznań
muru dotyka rozpacz,

zegar odwołał wiosnę,
pędów zielonych wodospad

i wielkanocne pieśni
pochłonął szczelny mur,

ściana płaczu doczesna
z dymu i chmur.

Drucki pierza wiatrem
w otchłań opadły trwożne,

umarłym zaśpiewa treu
nieistniejąca wiosna.

Tadeusz Różewicz

KSIĘŻYC ŚWIECI

Księżyc świeci
pusta ulica
księżyc świeci
człowiek ucieka

księżyc świeci
człowiek upadł
człowiek zgasł
księżyc świeci

księżyc świeci
pusta ulica
twarz umarłego
kałuża wody.

OD MOICH STÓP

Niebieska piłeczka
z dzieciństwa
toczy się
od moich stóp
dalej

nieuchwytną
darmo ścigam
wyciągając chciwe ręce

spływa cicho
z oka matki
pochylonej nad

toczy się jak śmiech
perlisty
perła za perłą

żongler zwabił ją
do ręki

ach jak lekko
i beztrosko
moim szczęściem
bawi ludzi

obcy człowiek.

Tadeusz Orlewicz

SYGNAŁY DEPRESJI GOSPODARCZEJ USA

OD DŁUŻSZEGO czasu szereg pism ekonomicznych na świecie (niezależnie od orientacji politycznej) przewidywało zbliżenie się kryzysu gospodarczego w USA. Przewidywania te były potwierdzone przez czołowych amerykańskich mężów stanu, którzy w obawie przed inflacją poczynili szereg zabiegów, przyczem plan Marshalla miał być generalnym remedium na zbliżającą się po „boomie" produkcyjnym depresję.

Wśród perspektyw, jakie notują w ubiegłym roku wybitni ekonomiści północno-amerykańscy, wypada zanotować dwie, operujące konkretami. Prof. dr C. F. Roos twierdzi, że pomyślna koniunktura w USA załamie się już w drugim półroczu 1948 roku, wówczas rozpocznie się depresja, która trwać będzie conajmniej przez cały rok 1949. Inny ekonomista, dr Woytinsky, twierdził, że już w pierwszym półroczu 1948 r. nastąpi ostra depresja, a to z uwagi na przewidywany przez niego poważny spadek zamówień na sprzęt techniczny i towary inwestycyjne, nadto zaś z uwagi na rozpoczynający się w Europie bardzo silny kryzys dolarowy, który zmusi wszystkie państwa do ograniczenia importu z USA.

Odpowiedź na to, czy trafne były te przepowiednie, nie dała na siebie długo czekać. Ostatnie tygodnie sygnalizują spadek cen, milionowe straty kapitalistów i przemysłowców, idące w tysiące przypadków bankructwa. Aby umożliwić sobie wyrobienie dokładnego obrazu na aktualną sytuację gospodarczą w USA, musimy przede wszystkim określić rodzaj artykułów, na które ceny ostatnio spadły, dalej zbadać czy ceny te spadły wyłącznie na giełdzie zbożowo-towarowej, czy też w sprzedaży detalicznej i wreszcie ustalić przyczyny takiego stanu rzeczy oraz skutki zarówno dla klasy pracującej, jak i dla klasy kapitalistycznej.

Wg ostatnich danych, spadek cen dotyczy głównie: pszenicy, żyta, bawełny, wieprzowiny i kukurydzy, a więc płodów rolno-hodowlanych. W grudniu ub. roku cena pszenicy na giełdzie w Chicago wynosiła 314 c. za 1 buszel, spadek cen jest stosunkowo szybki, bo w okresie od 3 do 18 lutego wynosi 51 centów na 1 buszlu. Spadek cen na kukurydzę jest szczególnie trudny od wyjaśnienia, ponieważ w roku 1947/48 istnieje w USA poważny niedobór kukurydzy, który przewiduje się zastąpić przez spaszenie 5 milionów ton pszenicy.

Spróbujmy te dwa wyzunięte przez nas fragmenty życia gospodarczego obejrzeć zbliska. Mamy przed sobą tablicę, ilustrującą stosunek wywozu z USA do produkcji wewnętrznej. Mamy tam takie wyliczenie: w roku 1947 na eksport szło 38,5 proc. ogólnej produkcji bawełny, 31 proc. — nabiału, 29 proc. mięsa (w olbrzymim odsetku wieprzowego wobec przeważającej konkurencji argentyńskiego mięsa wołowego), kukurydzy — 36 proc., a pszenicy — 23,3 proc. Te oderwane liczby wykazują, że płody rolno-hodowlane stanowią poważną pozycję w eksporcie USA. Stan gospodarczy tego kraju wymaga jak najusilniejszego rozwinięcia wagowo i finansowo puli wywozowej, przyczem charakterystyczną cechą eksportu USA jest to, że zajmując pierwsze miejsce w skali światowej, angażuje zaledwie 9—10 proc. całej swojej produkcji, resztę zaś produkcji pochłania rynek wewnętrzny. Wg. danych „Foreign Commerce Weekly" można zaobserwować wyraźnie zjawisko, że wzrost procentu, jaki przeznacza USA na eksport, idzie równomiernie ze wzrostem produkcji krajowej, ale jednocześnie rozwój produkcji i rozszerzenie jej gałęzi zmniejsza potrzeby importowe. Ponadto kraje, importujące dotąd z USA, nie mają już rezerw dolarowych, bo wobec braku możliwości rozwijania swego eksportu do USA muszą płacić za dostarczone towary walutą tego kraju, a nie rekompensować przywozu wywozem.

Trzeba zwrócić i na to uwagę, że państwa kontynentu europejskiego, zwłaszcza zaś kraje o wysokim stopniu uprzemysłowienia, były głównymi odbiorcami na świecie artykułów żywnościowych i surowca przemysłowego. Wg „The Network of Trade Wald" (Genewa, 1942) w roku 1933 kraje Europy kontynentalnej importowały około 30 proc. światowego eksportu bawełny, 51 proc. — kukurydzy, 33 proc. — pszenicy itp., a więc tych artykułów, na które dziś spadają ceny w USA. Poza Europą skurczyły się również bardzo poważnie możliwości importowe wielu krajów zwłaszcza azjatyckich z wyjątkiem ZSRR. Światowy eksport pszenicy w 53 proc. — to USA, mięsa w 30 proc. — to USA itd. Jeżeli więc kurczą się możliwości zbytu na eksport, to automatycznie ceny spadają w warunkach gospodarki narodowej USA, obliczonej na wywóz.

Jest to jednak jedna tylko strona zagadnienia. Na podstawie doniesień prasy możemy ustalić, że ceny istotnie spadają, ale w kursie na giełdzie zbożowo-towarowej. Ceny detaliczne natomiast nie spadają, a więc przez to samo nie zmniejszają się koszty utrzymania pracującego najemnie Amerykanina. Faktem jest poza tym, że nawet ten giełdowy spadek cen hurtowych na niektóre tylko artykuły konsumcyjne musi mieć dalsze konsekwencje. Na spadku cen tracą nie tylko tzw. grupy pośrednie o tendencjach monopolistycznego skupu, ale i fermerzy. Jeżeli tracą fermerzy, to w warunkach kapitalistycznej gospodarki rolnej wyśrubowane ich dywidendy w zyskach nie mogą — ich zdaniem — być zmniejszone, natomiast zmniejszeniu automatycznemu ulega zapotrzebowanie rolnictwa na produkty przemysłowe i inwestycyjne. Rolnik amerykański przy wielkich obszarach uprawnych ma perspektywę powrotu do gospodarki ekstensywnej, ale to przynosi — zmniejszenie potrzebnej ilości rąk roboczych na wsi. Ze wsi wędruje nowa fala do miasta. W mieście — wobec zmniejszonego stanu zapotrzebowania na produkty przemysłowe — powiększa się bezrobocie; armia bezrobotnych z fabryk powiększa się bezrobotnymi robotnikami rolnymi. Tu tkwi sedno zagadnienia i dlatego spadek cen sygnalizowany ostatnio oznacza zbliżanie się głębokiej depresji gospodarczej, która w warunkach gospodarki kapitalistycznej w całym swym ciężarze spada na barki klasy pracującej.

Strona podaży nie jest wprawdzie w tym sensie punktem szczególnie zapalnym, natomiast można już obecnie obserwować oznaki, wróżące krytyczną sytuację na odcinku popytu. Na rynku wewnętrznym wytworzyła się taka sytuacja, że głos decydujący posiadał sprzedający, a nie nabywca — konsument. Producent podwyższał produkcję, podwyższając jednocześnie ceny, warstwa pośrednicząca stosowała politykę wysokich cen i pustych półek, wyśrubowując ceny ponad możliwości nabywcze przeciętnego konsumenta. Inaczej mówiąc ceny na artykuły pierwszej potrzeby rosły znacznie szybciej niż zarobki pracownicze. To oczywiście osłabiło znacznie popyt wewnętrzny, a pożywką dla podtrzymania sztucznej tendencji zwyżkowej cen był wysoki poziom eksportu.

W roku 1946 przeciętny dochód Amerykanina wynosił — 1037 dolarów, ale w roku 1947 — 956 dolarów. Jednocześnie jednak wzrastał dochód społeczny. Co to oznacza? Oznacza nadmierną koncentrację kapitałów i dochodów z produkcji, oznacza, że istnieje w USA permanentne bezrobocie, dochodzące do 6—7 milionów osób (zarejestrowane + ukryte), oznacza, że zyski towarzystw przemysłowych w USA były przeciętnie 4 razy wyższe niż w latach 1936—1939, dochody farmerów potroiły się (wg „Wallstreet Journal", I, 1948), oznacza w końcu, że proporcja udziału klasy pracującej w dochodzie społecznym staje się wielkością odwrotnie proporcjonalną do wzrostu udziału kapitalistów w tej puli dochodu.

Trzeba stwierdzić, że ceny w USA były nadmiernie wyśrubowane i ich obecny spadek w żadnym wypadku nie spowoduje żadnych korzystnych dla świata pracy konsekwencji, ponieważ dyktatorem cen jest sprzedający a nie nabywca i producent normalnym przerzutem kalkulacyjnym zapewni sobie całkowity zysk w postaci nadwartości produkcyjnej. Spadek cen ma podłoże rzeczowe w nagromadzeniu towarów przede wszystkim nie długotrwałej konsumcji, ale ma również i uzasadnienie w tym, że USA w okresie pokojowym nie mogą opanować swoich wydatnie rozwiniętych sił wytwórczych, a stąd krok do jeszcze większego nadmiaru kapitału zakładowego i jeszcze większego wzrostu bezrobocia niż to było przed wojną, kiedy to co najmniej 40 proc. zdolności wytwórczej przemysłu USA nie było wykorzystanych, a bezrobocie obejmowało 9 milionów osób.

Możemy na tle tych informacji ustalić:

a) wysokość cen w USA określą się możliwościami eksportu i zyskiem producenta lub grupy pośredniej;

b) producent zainteresowany jest w utrzymaniu polityki wysokich cen i pustych półek, stąd zagadnienie planu Marshalla;

c) nagromadzenie dóbr i rozwój sił wytwórczych w USA powoduje nadmierne obciążenie przedsiębiorstwa i kapitałem zakładowym i przewlekającym się rozliczeniem kredytowym;

d) zagadnienia pozagospodarcze grają dużą rolę w społeczeństwie USA, stąd szybkie przejawy paniki;

e) ceny spadają tylko na giełdzie, w kursie, ponieważ brak odpowiednich nabywców na rynku wewnętrznym i zewnętrznym;

f) spadek cen głównie na płody rolno-hodowlane nie jest tak poważny, aby zrównoważył wzrost kosztów utrzymania klasy robotniczej;

g) spadek cen już nawet tych na giełdzie przyniesie zmniejszenie zamówień, spadek produkcji i powiększenie się bezrobocia, a przez to samo i siła nabywcza klasy robotniczej będzie spadać, bo o tym, aby robotnik amerykański mógł coś zaoszczędzić na czarną godzinę, trudno mówić, skoro w roku 1944 oszczędności tej grupy wynosiły „aż" 17 dolarów na rodzinę.

Oto jeszcze kilka dodatkowych danych, obrazujących bliżej powyższe zestawienie.

Zniesienie kontroli cen i płac było przyczyną powstania wyraźnych procesów inflacyjnych. Od połowy 1946 roku ceny odzieży wzrosły o 16 proc., ceny przedmiotów gospodarstwa domowego i mebli o 18 proc., ceny żywności o 40 proc., a np. ceny mydła wzrosły od 50 do 70 proc. Najbardziej wzrósł wskaźnik cen na artykuły spożywcze nabywane przez robotników najgorzej opłacanych, bo o 31—37 punktów.

Obserwuje się w USA wyraźny spadek produkcji i wzrost zapasów towarowych po wojnie. Ogólny wskaźnik produkcji spadł w porównaniu do roku 1946 o 28 proc., wzrosła tylko produkcja artykułów włókienniczych i skórzanych, ale wyraźny spadek wykazuje przemysł lotniczy, budowy okrętów, przemysł obrabiarkowy, samochodowy, spadło wydobycie węgla kamiennego i produkcja surówki. Tu poważną przyczyną spadku obok w/w były i strajki, które tylko w 1946 roku spowodowały utratę 120 milionów robotnikodniówek.

Jednocześnie zapasy towarowe w przemyśle i handlu wzrastały w miliardach dolarów na koniec roku w następujący sposób: 1938 — 19,3, r. 1944 — 26,6, r. 1945 — 26,4, r. 1946 — 34,9, r. 1947 — 37,2. Wartość zapasów towarowych w handlu hurtownym wyniósł w tym czasie 50 proc., a zapasy w handlu detalicznym wzrosły o 30 proc.

Spadek produkcji i wzrost zapasów powoduje wzrost bezrobocia i spadek zarobków.

Obok bezrobocia zarejestrowanego (ponad 3.000.000 osób) o wiele groźniejszym jest fakt ukrytego bezrobocia czyli częściowego zatrudnienia w przemyśle. Rok temu pracujących poniżej 14 godzin tygodniowo było ponad 1 milion, a pracujących od 15 do 34 godzin tygodniowo było ponad 7 milionów. Oznacza to, że 20 proc. stanu zatrudnienia — to bezrobocie ukryte już w końcu roku 1946. Te podane wyżej 120 milionów straconych robotniko-dniówek, to przeszło 2 proc. ogólnej liczby przepracowanych robotniko-dniówek. W roku 1945 odsetek ten wynosił tylko 0,5 proc., a przed wojną przeciętnie — 0,3 proc.

Zwiększenie zapasów na składach i zmniejszenie produkcji powodowało brak towarów na rynku, a jednocześnie nominalne zarobki robotników, zatrudnionych w przemyśle, zmniejszone zostały w okresie rekonwersji w następstwie:

a) zniesienia nadliczbowych godzin pracy, stosowanych podczas wojny;

b) przeszeregowania robotników z wysokokwalifikowanych i dobrze opłacalnych zajęć w przedsiębiorstwach wojennych do nisko kwalifikowanych i gorzej opłacalnych zajęć w zakładach produkcji pokojowej.

Wg oficjalnych danych przeciętny tygodniowy zarobek robotnika w przemyśle był w r. 1946 o 12 proc. niższy w porównaniu z zarobkiem 1945 r. „Economic Notes" podaje, że realne zarobki robotników wykazały spadek 34-procentowy, a z tym i zdolność nabywcza klasy pracowniczej spadła. O ograniczeniu zdolności płatniczej świata pracy w USA świadczy również wzrost kredytów na zakup towarów konsumcyjnych na warunkach spłat ratalnych. Kredyty te wzrosły w okresie od X—1945 do II—1947 r. o 58 proc., a więc bez precedensu w stosunkach amerykańskich.

Listy polityczne

Pszenica i idea niepodległości

Drogi Przyjacielu!

Nie trzeba się nigdy dziwić zbiegowi faktów — choćby najbardziej paradoksalnych. Logika rzeczywistości jest niejednokrotnie różna od logiki formalnej — ale konsekwentną. Słuchaj więc...

W okresie kryzysu rolnego przed drugą wojną światową, buszel pszenicy w Stanach Zjednoczonych kosztował 68 centów. W roku 1947 cena pszenicy podniosła się już jednak do ponad 2 dolarów, by w roku 1948 osiągnąć maksymalną wysokość — 3,34 dolara. Po pewnych wahaniach i spadkach ustabilizowała się na poziomie 2,41 dolara za buszel. Powinieneś przy tym wiedzieć, że fachowcy od spraw pszenicy dowodzili, iż podniesienie ceny buszla pszenicy do wysokości 1 dolara oznaczałoby zakończenie kryzysu i przysporzyłoby znaczne zyski handlarzom.

I jeszcze jedna informacja — w czasie wojny nożyce cen rynkowych w St. Zjedn. kształtowały się na korzyść produktów rolnych. Jeśliby rok 1926 przyjąć za 100 — to wysokość cen hurtowych towarów rolnych w roku 1948 wynosiłaby 195, a towarów przemysłowych — 148.

Komu przynosiła korzyść tego rodzaju sytuacja? Bezwątpienia bogatym kupcom i wielkim właścicielom ziemskim. Tak np. z miliona trzystu sześćdziesięciu tysięcy farmerów, których dług nie przekraczał 500 dolarów: 340 tys. wypłacało 9—10%, 186.000 — 10—13%, 59.000 — ponad 13%. A procenty szły do kieszeni tych, którzy znają się na uprawie roli na tyle jedynie, na ile jest to konieczne zamożnemu mieszkańcowi miasta.

12 marca 1947 roku przed komisję senacką został wezwany niejaki E. M. Pauli — wielki właściciel złóż naftowych, bliski współpracownik Trumana, przedstawiciel Stanów Zjednoczonych na międzynarodowej konferencji do spraw reparacji. Komisja senacka oskarżyła Pauli'ego o to, że w czasie pełnienia odpowiedzialnych funkcji w ministerstwie spraw wojennych — zajmował się równocześnie prywatnymi dostawami zboża dla armii. Pauli odpowiedział, że jeszcze przed objęciem stanowiska w ministerstwie zakupił 500.000 buszli pszenicy — by je w odpowiedniej chwili — w czasie podwyżki cen — z zyskiem sprzedać. Dowodził również, że intencją jego było zabezpieczenie przyszłości swojej rodzinie. Cóż w tym karygodnego?

Przypomnij sobie mój drogi, postacie z opowiadań Caldwella, szczególnie z tego ostatnio drukowanego w „Kuźnicy" — „Klękaj przed wschodzącym słońcem". Stary ojciec poszedł do świń szukać pożywienia — a świnie pożarły człowieka. Zapamiętaj to sobie — dane statystyczne świadczą, że amerykański farmer karmi pszenicą kury i świnie. A człowiek?

Ale to tylko na marginesie. Słuchaj — co dalej z pszenicą. Piszę Ci krótką historię przedmiotu, ale z niej przypuszczam poznasz motywy pewnych czynów i genezę pewnych idei.

Rok 1947 był w Stanach Zjednoczonych wyjątkowo urodzajny. Zbiory pszenicy obliczano na 38 mil. ton. I wolno przypuszczać, że gdyby Stany Zjednoczone nie zużyły więcej pszenicy niż przed wojną (a nie było po temu naturalnych przyczyn) starczyłoby jej na zaspokojenie potrzeb Europy — i to po cenach normalnych. Ale jakimś dziwnym trafem zużyto właśnie wówczas na paszę dla bydła 8 mil. ton pszenicy. Czyż to nie przypadek?

W takich warunkach zwołano międzynarodową konferencję w sprawie pszenicy w początku br.

I cóż? Stany Zjednoczone, Argentyna i Kanada zgodziły się na eksport pszenicy po cenie 1,5 dolara za buszel (czyli o 50% drożej niż cena jednego dolara uznana przez fachowców za dostatecznie zyskowną dla amerykańskich kupców) — zmuszając przy tym kraje importujące do zakupienia z góry przez siebie ustalonych kontyngentów.

Demokratyczna prasa francuska — kraju, który uczestniczył w konferencji — nie bez przyczyny pisała, że umowa ta przekreśla możność rozwoju rodzimego rolnictwa. A pamiętaj, że konferencja miała za zadanie udzielenie pomocy krajom tzw. marshallowskim.

Pszenica! Pszenica to tylko element, szczegół, wielkiego obrazu, którego ramę stanowi dzisiejsza rzeczywistość krajów kapitalistycznych.

Zaledwie skończyła się „pszenna" konferencja — prawica socjalistyczna krajów zachodnio - europejskich zwołała nową konferencję. Z myślą stworzenia „socjalistycznego centrum porozumienia i propagandy Stanów Zjednoczonych Europy" z pomocą Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Traf chciał, że odwiedziła wówczas Paryż angielska następczyni tronu, która w jednym z przemówień oświadczyła, że pojęcie niepodległości narodowej jest po prostu przeżytkiem. Tę samą myśl głosili przywódcy konferencji — tę samą myśl głosi również Churchill.

Czy zbieg tych faktów — to tylko paradoks historii? Pomyśl — a zrozumiesz.

Twój *Krzysztof*

W następnym numerze — o Czechosłowacji — Jan Aleksander Król i Wiesław Jażdżyński

Aleksander Litwin

ANALIZA PRACY

„WOLNA PRACA"

KAPITALIZM — pisał Marks — uczynił z robotnika **„obdarzony świadomością dodatek do cząstkowej maszyny"**. Człowiek — robotnik w społeczeństwie kapitalistycznym specjalizuje się w zawodzie, ale — po pierwsze — dla przytłaczającej większości ludzi pracy zawód ten jest narzucony przez okoliczności, nie odpowiada zamiłowaniom człowieka — robotnika; po wtóre — jest to specjalizacja w bardzo wąskim zakresie, jednostronna, ogłupiająca, rozwijająca jednostronnie i to przeważnie fizyczne uzdolnienia człowieka; kaleczy go ona fizycznie i duchowo; po trzecie — pracownik fizyczny odcięty jest nieprzystępnym murem od nauki i wiedzy technicznej, która jest przywilejem odrębnej grupy, innej warstwy społecznej.

Anna Kuwszinowa

Robotnik w kapitalizmie zna jedynie produkt cząstkowy, nie zna gotowego wytworu, który przecież jest przywłaszczany przez kapitał. Ten wytwór przeciwstawia się robotnikowi zarówno w procesie produkcji, jak tym bardziej w procesie wymiany, na rynku. Wskutek zasadniczego przeciwieństwa kapitalizmu — między uspołecznioną pracą a prywatnym przywłaszczaniem — robotnik traci go z oczu — w produkcji; nie jest więc zainteresowany ani **w pomnażaniu jego ilości** — co jest przecież równoczesne z potęgowaniem wyzysku i pomnażaniem zysków wrogiej klasy, — ani nie jest zainteresowany **w udoskonaleniu jego jakości**; widzi go bowiem dopiero na rynku — nie jako przedmiot służący do zaspakajania potrzeb ludzkich, lecz towar — przedmiot służący do pomnażania zysków kapitalisty.

„Rzeczywiście — powiada Marks — wolna praca, np. praca kompozytora, jest zarazem diabelnie poważną sprawą, jest najbardziej intensywnym naprężeniem. Praca materialnej produkcji może zyskać tę cechę jedynie przez to, że 1) dany będzie jej społeczny charakter, 2) że będzie posiadać naukowy charakter".

Wolna praca — powiada w innym miejscu Marks — musi być „pracą przyciągającą, samourzeczywistnieniem jednostki, co bynajmniej nie oznacza, że taka praca — to zwykła zabawa, zwykłe zadowolenie, jak to krańcowo naiwnie, przystosowując się do pojęć paryskiej gryzetki, pojmuje Fourier".

Socjalizm, znosząc przeciwieństwo między pracą a środkami produkcji, między pracą a produktem pracy, znosząc podział pracy oparty na klasowym podziale społecznym — znosi przegrody jakie stawia kapitalizm między pracą fizyczną i umysłową. Stwarza w ten sposób warunki dla **przekształcenia pracy fizycznej w pracę inteligentną.** Współzawodnictwo pracy, przodownictwo pracy, ruch stachanowski — to **droga zniesienia tego przeciwieństwa, droga uczynienia z pracy robotnika pracy technika i inżyniera.** Bo czymże jest praca naszych przodowników-racjonalizatorów, czym jest praca np. Anny Kuwszinowej,*) jeśli nie powiązaniem pracy fizycznej (w mniejszym lub większym stopniu) z pracą inżyniera, twórcy, wynalazcy, z pracą, jak krańcowo plastycznie porównuje Marks — kompozytora.

PODNOSZENIE KWALIFIKACJI — WARUNKIEM POSTĘPU

Rozwój sił produkcyjnych był koniec końców zawsze praprzyczyną wszelkich przemian formacyj społecznych. Rozwój jednakże demokracji ludowej i jej późniejsze przeobrażenie w wyższe formy ustroju społecznego tym, między innymi, różnią się od wszelkich przeobrażeń dawnych społeczeństw, iż — jak stwierdził Lenin — „twórcami tego społeczeństwa mogą być tylko wielomilionowe masy. Jak setki były twórcami epoki poddaństwa, jak tysiące i dziesiątki tysięcy budowały państwo w epoce kapitalizmu, tak teraz przewrót socjalistyczny może być dokonany tylko przy aktywnym bezpośrednim, praktycznym udziale w kierownictwie państwem dziesiątków milionów".

*) Anna Kuwszinowa, stachanówka, tokarz Zakładów Łożysk Kulkowych im. Kaganowicza w Moskwie mówi: „Stachanowcy to ludzie myśli. Praca stachanowska wtedy się zaczyna, kiedy człowiek, który dotąd mechanicznie spełniał swe obowiązki, przestaje ślepo patrzeć na proces produkcji, stara się go zrozumieć, usprawnić zracjonalizować. W tym celu musi nieustannie pogłębiać swą wiedzę".

Postęp techniczny jest zasadniczą drogą wyrwania Polski z przemysłowego i kulturalnego zacofania. Ciągły postęp techniczny jest zasadniczym prawem rozwojowym zdążającej do socjalizmu gospodarki ludowej. Wszelki zastój, a nawet wszelkie poważne zahamowania tempa rozwoju gospodarczego, spowodowałyby nieuniknienie przyśpieszenie procesu odradzania się kapitalizmu. Dlatego uprzemysłowienie kraju jest zasadniczą metodą wykańczania gmachu ludowej demokracji.

U podstaw postępu technicznego leżą następujące założenia: 1) **prawidłowy podział pracy w produkcji, zwolnienie wykwalifikowanych robotników od drugorzędnych, przygotowawczych prac;** 2) **racjonalizacja technologicznych procesów;** 3) **doskonalsza organizacja miejsca pracy.**

Jeśli górnik zechce w pełni wykorzystać zdolność produkcyjną maszyny wrębowej, to musi on zwolnić się od wszelkich robót pobocznych. Te prace muszą wykonywać pomocniczy robotnicy. Jeśli traktorzysta zechce w pełni wykorzystać zdolność swego traktoru, to musi się zwolnić od wszelkich prac przy pługu, kosiarce, dowozie paliwa itd. Wzrost wydajności pracy dokonuje się tu przez **doskonalszy podział pracy i specjalizację każdego z robotników w swoim zawodzie.** Ale też jedynie ten podział pracy umożliwia specjalizację.

Jeśli włókniarz zechce pracować na zwiększonej liczbie krosien, to trzeba mu doskonalej zorganizować miejsce pracy, udoskonalić nić zarówno osnowy, jak i wątku, zapewnić właściwą pomoc przy pracach przygotowawczych i pomocniczych itd.

Drobne nawet udoskonalenia racjonalizacyjne poważnie podnoszą wydajność pracy, maszyn i urządzeń w przemyśle hutniczym, metalowym itd. Znane są np. fakty, jak drobne udoskonalenia noży do toczenia przyczyniły się do podwojenia produkcyjności tokarek czy heblarek.

W polskim przemyśle i rolnictwie, w których procesy automatyzacji i półautomatyzacji są jeszcze nikłe nawet w przodujących gałęziach gospodarki narodowej — wyłożone wyżej trzy zasady przodownictwa pracy posiadają szczególnie ważkie znaczenie. Ich popularyzacja może się przyczynić do poważnego podniesienia wydajności pracy, a zarazem podniesienia współzawodnictwa pracy na wyższy szczebel.

Postęp techniczny powoduje ciągły postęp w podziale pracy, coraz dalsze różniczkowanie zawodów i specjalności, obumieranie starych, przeżytych zawodów, i powstawanie nowych, nieznanych uprzednio.

Oddział kotłów w jednej z największych siłowni energetycznych w Polsce na kopalni „Wiktoria" w Wałbrzychu, obsługują jedynie 2—3 osoby, które kontrolują zegary i urządzenia. Dostawy węgla, wody itd. zostały całkowicie zautomatyzowane. Dawne zawody — palaczy, kotlarzy, robotników podwórzowych itd. — postęp techniczny zniósł. Wraz więc z mechanizacją i automatyzacją procesów produkcji, rosną **elementy kontroli i regulacji nad wysiłkiem fizycznym.** Rośnie rola **umysłowego wysiłku nad fizycznym.** Nowe zawody, które rodzi postęp techniczny, są **bardziej kwalifikowane, bardziej złożone, o szerszym profilu.** Rośnie rola technika i inżyniera; ale zarazem **praca robotnika staje się coraz bardziej pracą technika i inżyniera,** coraz szerzej praca fizyczna wiąże się, a ściślej mówiąc, **przeradza się w pracę umysłową.**

Ten kierunek rozwoju postępu technicznego daje właściwe perspektywy współzawodnictwa pracy, a zarazem dowodzi, że współzawodnictwo pracy w okresie postępu technicznego przemysłu i rolnictwa, a szczególnie w okresie rewolucji technicznej, do jakiej się szybko zbliżamy, będzie musiało wkroczyć w wyższą swą fazę — fazę w której coraz szerzej będzie wiązać podnoszenie wydajności pracy z podnoszeniem kwalifikacji technicznych pracujących, z rozszerzeniem ich wiedzy i horyzontów

KRYTYKA AGRARYZMU

Agraryści, którzy przeciwstawiają się procesowi uprzemysławiania kraju, zwalczają zasadniczo postępujący podział pracy. Ich zdaniem niezróżniczkowana, wielostronna praca chłopa na swojej zagrodzie, jest najwyższą i najbardziej cenną formą pracy, pracą, która najszerzej i najwszechstronniej rozwija ludzkie uzdolnienia, która jedynie może uczynić człowieka wolnym od jednostronności, szczególnie od otępiającej pracy fabrycznej. Ona „wiąże człowieka z naturą"; czyni go więc rzekomo najbliższym doskonałości.

Zwolennicy agraryzmu, którzy, klasowo rzecz biorąc, są obrońcami kapitalistycznego porządku rzeczy i własności bogacza wiejskiego, poddają krytyce wiele niedociągnięć pracy fabrycznej i życia miejskiego. Ale będąc wyrazicielami interesów pewnych grup kapitału, omijają rzecz zasadniczą: **eksploatatorską formę,** jaką kapitalizm narzucił pracy fabrycznej. Kapitalizm powoduje — stwierdza Marks — że **„duchowa i materialna działalność, zadowolenie i praca, produkcja i spożycie stają się rzeczą różnych jednostek..."** Ten antagonistyczny podział pracy wnosi kapitalizm, ale znosi go socjalizm. Tego nie chcą jednakże widzieć i zrozumieć panowie agraryści.

Gospodarstwo chłopskie zna najbardziej prymitywny w zasadzie podział pracy: według płci i wieku. Gospodarz jest „specjalistą" w dziedzinie: orki, siewu, kośby, hodowli koni, bydła i trzody; on zarazem wykonuje wiele innych prac gospodarskich: przy remoncie wozu, uprzęży, budynków, studni, wyrębie itd. itd. Kobieta pomaga mężowi we wielu pracach polnych, jej pieczy powierzony jest ogród, hodowla świń i ptactwa domowego, ona jest prządką i tkaczką itd.

Nie trzeba chyba uzasadaniać, że ta wielostronność pracy nie świadczy o postępie, lecz zacofaniu gospodarstwa chłopskiego. Ta wielostronna praca nie jest i nie może być powiązana z nauką, z najnowszymi osiągnięciami agrotechniki, nauki weterynaryjnej, techniki prac rolnych. Chłop, który, jak głoszą agraryści, jest najwspanialszym specjalistą, staje bezradny przed zagadkową dla niego sprawą — jakie nawozy sztuczne stosować do danej ziemi, jaki stosować najbardziej prawidłowy płodozmian, jakie użytkować najdoskonalsze ziarno siewne, jak przeciwdziałać epidemii zwierząt gospodarskich itd.

Doceniając wszystkie pozytywne cechy pracy indywidualnej, a szczególnie jej zapobiegliwość, dbałość, staranność, — należy zdać sobie sprawę z najprostszej w tej chwili prawdy, że droga postępu gospodarczego wiedzie przez różniczkowanie w podziale pracy i wiązanie jej w ten sposób z postępem technicznym. P. Buczkowski np. marzył o przeniesieniu przemysłu na wieś. Ale przecież nawet kołowrotek czy cep na kulkowych łożyskach nie zastąpi współczesnej maszyny przędzalniczej, lub nowoczesnej młockarni.

Fundamenty postępu polskiej wsi zostały założone przez zniesienie wyzysku wielkokapitalistycznego i obszarniczego. Na wieś przychodzą specjaliści w wielu dziedzinach agrotechniki, od inżynierów do instruktorów rolnych; przychodzą nie tylko lekarze weterynarii, ale także specjaliści w dziedzinie hodowli; przychodzą mechanicy, traktorzyści, spółdzielcy, specjaliści w dziedzinie przetwórstwa artykułów rolniczych, specjaliści plantatorzy, itd. Droga uspółdzielczania wsi — to m. in. droga **różniczkowania podziału pracy, powstawania nowych działów pracy i nowych zawodów,** jakich nie znała i znać nie mogła drobna, zacofana, gnębiona przez kapitał i obszarnictwo gospodarka chłopska.

Wybrałem przykład wsi nie tylko dlatego, że piszę na łamach „Wsi"; sądzę, że jest on bardzo jaskrawy, bardzo charakterystyczny. Uwagi te odnoszą się jednakże w conajmniej równej mierze do wszystkich gałęzi gospodarstwa narodowego, — do rzemiosła, przemysłu drobnego, średniego i wielkiego. Dotyczą nawet techniki pracy biurowej, handlu, transportu itd. Jest to zasadnicze prawo postępu technicznego.

Niezbędnym warunkiem tego postępu jest **podniesienie poziomu kulturalnego klasy robotniczej i chłopstwa,** podniesienie szczególnie ich kulturalno-technicznego poziomu. Jeśli słowo „odrodzenie człowieka" ma mieć jakikolwiek realny sens, to na wykazanej wyżej drodze rozwojowej — ciągłego postępu technicznego i podnoszenia wiedzy ludzi pracy — widzimy, jak myśl marksistowska rysuje realne perspektywy odrodzenia człowieka, „samourzeczywistnienia jednostki", jak powiada Marks; mało tego — ona mobilizuje klasę robotniczą, wszystkie siły postępu w mieście i na wsi dla urzeczywistnienia tej idei, walczy o jak najszybszą jej realizację. W walce tej **odradza się człowiek przemieniając się.**

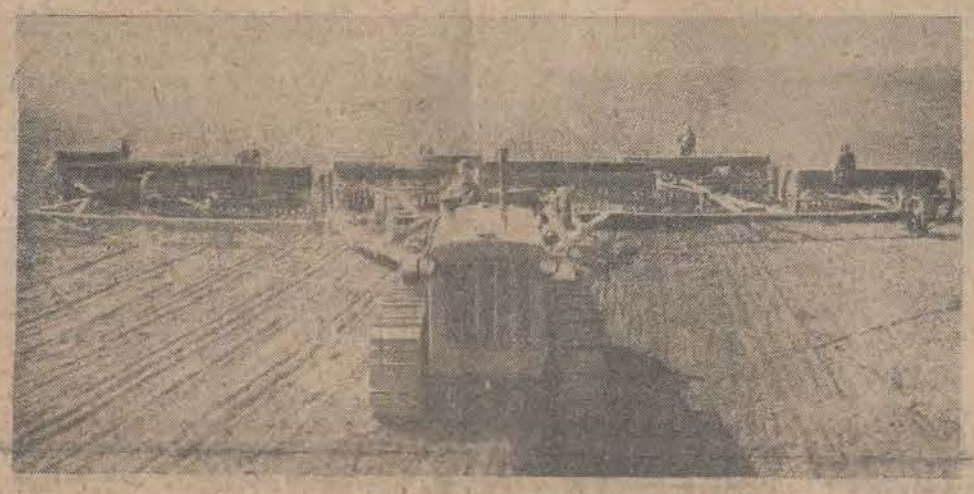

Zmotoryzowany siew

W. Pstrowski w kopalni węgla

Odbudowa Warszawy fot. Film Polski

Z pastwiska..

...Do szkoły.

WIEŚ i

Dyzma Gałaj

Możliwości produkcyjne

W sprawach gospodarczych wsi ukazały się w publicystyce polskiej trzy interesujące artykuły: Stefana Ignara „Przebudowa gospodarcza wsi" („Wieś" nr. 10 (139), A. Brzozy — „Przeciwko kompleksowi niższości w rolnictwie", (Nowe Drogi, nr. 8) i L. Pola — „Wieś rozpoczyna współzawodnictwo" (Nowe Drogi, nr 8). Dotyczą one zagadnienia produkcji lub organizacji produkcji w rolnictwie.

I.

A. Brzozie za temat rozprawy posłużyło uznane i uświęcone w burżuazyjnej ekonomii groźnie brzmiące „prawo zmniejszającej się wydajności gleby". To rzekome prawo przyrodnicze opiera się na tzw. **prawie minimum** sformułowanym przez twórcę chemii rolnej — Liebiga. W ostatecznej jego modyfikacji (dokonanej przez kontynuatorów Liebiga) prawo to brzmi: „największy plon jest osiągalny przy średniej (optymalnej) ilości czynnika. Przy najmniejszej (minimalnej) i największej (maksymalnej) ilości czynnika plon jest nieosiągalny (równy zeru). Innymi słowy, jeżeli czynnik znajdujący się w minimum (np. nawóz azotowy) będziemy powiększali, to plony do pewnego punktu będą wzrastać, przy czym wzrost ten będzie coraz powolniejszy, a po przekroczeniu punktu optymalnego, dalsze dodawanie danego czynnika nie tylko nie spowoduje wzrostu plonu, ale urodzaj zacznie spadać, by przy maksymalnej ilości czynnika osiągnąć zero. W ten sposób wykres stosunku plonu przyjmie formę paraboli".

Ekonomia okresu kapitalistycznego natychmiast znalazła dla tej tezy pożyteczne zastosowanie. Postawiła je mianowicie jako przyczynę nędzy mas pracujących, gdyż nie ustrój ówczesny (zagadnienie „nadprodukcji"), a święte prawo przyrody jest hamulcem rozwoju produkcji rolnej. J. S. Mill pisał: **„Skąpstwo przyrody, a nie niesprawiedliwość społeczna stanowi przyczynę cierpień, jakie naród przy przeludnieniu przeżywać musi".**

Brzoza łatwo wykazuje błędy zwolenników tego prawa. Polegają one mianowicie na tym, że w doświadczeniach brano pod uwagę wpływ jednego tylko czynnika (np. wody — Helrigel), a nie pamiętano, że „wzrost i rozwój rośliny w każdym momencie zależy od całego szeregu czynników **wzajemnie się warunkujących".** Późniejsze doświadczenia przeprowadzane szczególnie w Związku Radzieckim (Wiliams) wykazały, „że im więcej czynników wpływających na plon rośliny poddać jednoczesnemu badaniu, im bardziej zostaje uwzględniona ich wzajemna interferencja, tym bardziej złowieszcza krzywa spadającej urodzajności prostuje się, a plony zaczynają wzrastać nie tylko wprost ale i więcej niż proporcjonalnie w stosunku do każdego następnego dodatku czynnika. Prawo zmniejszającej się wydajności przekształca się w prawo zwiększającej się wydajności, w prawo postępu rolniczego, limitowanego jedynie zasięgiem wiedzy".

Po analizie funkcji ekonomiczno-politycznej spełnianej w okresie kapitalistycznym przez to fatalistyczne prawo minimum, Brzoza dochodzi do słusznego wniosku, że „nie wieczne prawa", lecz **stosunki społeczne ustroju kapitalistycznego hamują postęp rolnictwa.** I dlatego masy pracujące miast i wsi, zamiast „walczyć z wiatrakami" tzn. z rzekomym prawem zmniejszającego się przychodu z ziemi wybrały walkę z rzeczywistym wrogiem postępu produkcji — ustrojem kapitalistycznym". Przez stosunki społeczne, hamujące w tym okresie produkcję tak rolną, jak zresztą i przemysłową, rozumieć należy „bezplanową formę produkcji, wynikającą z podstawowych sprzeczności kapitalizmu — sprzeczności między społecznym charakterem produkcji a indywidualnym przywłaszczeniem".

II.

Konsekwencją rozprawy A. Brzozy jest optymizm w sprawach produkcji rolnej. Notujemy go w artykule **Ludwika Pola — „Wieś rozpoczyna współzawodnictwo".**

Minister Minc na zjeździe Z.S.Ch. stwierdził, że rolnictwo nasze w stosunku do potrzeb naszej gospodarki **rozwija się zbyt wolno.** Gdyby dysproporcja rozwoju produkcji rolnej i przemysłowej trwała nadal, grożą nam niebezpieczne konsekwencje. Jakie?

1. Nienadążanie bazy surowcowej w stosunku do dalszego, szybkiego rozwoju przemysłu;

2. brak żywności dla wzrastającej wciąż ilości robotników przemysłowych;

3. mała pojemność rynku wiejskiego wobec wzmagającego się potoku towarów przemysłowych;

4. ujemne oddziaływanie na bilans handlowy i płatniczy.

„Stąd wysuwa się — pisze Pol — przed rolnictwem, jako centralne zagadnienie — walka **o szybkie tempo rozwoju produkcji rolnej,** walka **o większy plon z ha, o wyższą wydajność produkcji zwierzęcej,** walka **o samowystarczalność aprowizacyjną".**

Walką tą jest rozpoczęte po Ogólnokrajowym Zjeździe robotników i pracowników państwowych gospodarstw rolnych Ministerstwa Roln. i R. R. (1947 r.) wszechstronnie pojęte współzawodnictwo. Poszukując bowiem przyczyn obecnego niskiego stanu produkcji rolnej, dochodzimy do wniosku, że wina leży nie w niedostatecznej wielkości zasianych obszarów, a w **niedostatecznej wydajności z ha,** a ponieważ tragiczne prawo „o skąpstwie przyrody" już chłopów nie przeraża, więc przystępują do planowej akcji współzawodnictwa w walce o podporządkowanie sobie gleby.

Pol zwraca uwagę na elementy sprzyjające i przeszkadzające współzawodnictwu, oraz na dziedziny i formy współzawodnictwa.

Przeszkadzają tradycyjne nawyki gospodarki liberalnej. Sprzyja natomiast świadoma propaganda intensywnej gospodarki planowej i ambicja wyróżniania się poszczególnych jednostek, gromad, gmin itd.

Zdając sobie sprawę z rachunku, jaki wypada przy ocenie podstawowych środków produkcji (siła pociągowa, nawożenie gleby, pomoc instruktorska, ośrodki maszynowe), pracownicy agronomii społecznej na zjazdach rolnych stwierdzili, że nakazem chwili jest: **1. maksymalna mobilizacja własnych środków terenowych i zasobów lokalnych. 2. maksymalne wykorzystanie w ramach ustawy o pomocy sąsiedzkiej,** (kapitalnego oręża biedoty wiejskiej), **siły pociągowej, narzędzi i maszyn rolniczych,** w szerokim froncie pomocy mało — i średniorolnym gospodarstwom.

To jest punkt wyjścia wielkiej i śmiałej ofensywy chłopów na stare, dostojne prawo o złośliwości gleby, która była dotychczas w naświetleniu wielu kapitalistycznych naukowców, regulatorem stosunków międzyludzkich.

III.

Sprawie organizacji produkcji rolnej St. Ignar poświęca artykuł pt. „Przebudowa gospodarcza wsi". („Wieś", nr. 10 (139).

W artykule tym autor konstruuje podstawy przebudowy społeczno - gospodarczego życia wsi w ramach dokonanych i dokonujących się reform współczesnej Polski. Oto tezy owej konstrukcji:

1. Zmiana ustroju gospodarczego w Polsce, a szczególnie nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna w połączeniu z planową gospodarką — wyznacza kierunek rozwojowy wsi.

2. W związku z potrzebą gospodarki planowej staje się nieaktualny system gospodarowania, polegający na całkowitej i wyłącznej indywidualnej dyspozycji właściciela gospodarstwa w zakresie produkcji.

3. Rolnictwo znalazło się w konieczności sharmonizowania z gospodarką planową w państwie i wykonywania przewidzianych w planie zadań.

4. Droga do uzgodnienia współpracy z państwem w dziedzinie gospodarki planowej prowadzi poprzez nowoczesną organizację zawodowo-gospodarczą, jaką jest Związek Samopomocy Chłopskiej oraz przez integralną spółdzielczość rolniczą, realizowaną przez spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej.

5. Spółdzielczość rolnicza i organizacja zawodowo-gospodarcza winny mieć oparcie polityczne w SL-u i innych partiach bloku, aby sprawy gospodarcze wsi były dostatecznie reprezentowane wobec państwa.

6. Organizacje zawodowe i gospodarcze wsi, jak Związek Samopomocy Chłopskiej i spółdzielczość rolnicza winny mieć bazę społeczno-ideową i teren rekrutacji dostatecznie przygotowanych sił w organizacjach młodzieży, a więc w ZMW RP „Wici" i innych ideologicznych organizacjach młodzieży oraz PRW.

7. Istotnym problemem jest przebudowa społeczno-gospodarcza wsi, która będzie polegać na uspołecznieniu narzędzi produkcji, co jest równoważne z możliwością unowocześnienia produkcji rolnej. Nowe środki produkcji w postaci narzędzi, maszyn i instalacji są możliwe do zastosowania tylko sposobem społecznym, ponieważ ich istota techniczna tego wymaga (elektryfikacja, traktory, większe i wydajniejsze maszyny).

Jest to, jak widać, projekt ustroju gospodarczego, w którym produkcja rolna odbywać się może planowo, społecznie, bez fałszów z okresu kapitalizmu, a rozwój jej napełniać nas dużym optymizmem.

Te trzy omawiane artykuły stanowią niejako całość. Widzimy nieograniczone możliwości produkcyjne rozumiane przyrodniczo, widzimy bodźce podniecające produkcję rolną oraz formy i powiązania tej gałęzi produkcyjnej z innymi.

Wiesław Jażdżyński

Warstwa chłopska

Daje się wreszcie zauważyć (po 3 latach) rozszerzenie problematyki wsi na szereg instytucji naukowych i pism literacko-naukowych, kształtujących opinię i świadomość narodową inteligencji polskiej (w większości jak dotąd—mieszczańskiej).

A to:

1. Obok ośrodka „Wsi" coraz żywszy i bogatszy naukowo jest ośrodek badań ekonomicznych wsi przy K.C. PPR, który jak wiadomo ogłasza wyniki prac w „Nowych Drogach".

2. Z pism naukowych chce rozszerzyć problematykę na zagadnienia wiejskie — „Myśl Współczesna".

3. Ruszyły na front wiejski pisma społeczno-literackie — „Odrodzenie", ostatnio i „Kuźnica".

Pragniemy w zbiorowym artykule podsumować zagadnienie wsi, przedstawione w szeregu pism w ostatnich dwu miesiącach.

* * *

Sytuację warstwy chłopskiej za ostatnie dwudziestolecie przedstawił syntetycznie na konferencji wiciowej w Dębowej Górze — prof. Jan Szczepański („Młoda Myśl Ludowa" Nr 3—4).

Utrzymując się zasadniczo na gruncie analizy historycznej kreśli prof. J. Szczepański problem według następującej typologii:

1. Liczebności ludności wiejskiej i jej poziomu ekonomicznego
2. Struktury wewnętrznej warstwy chłopskiej
3. Udziału w życiu politycznym
4. Socjologicznej charakterystyki wsi i instytucji wiejskich.

Trzeba dodać, że wszystkie te zagadnienia rozwinęła w szczegółowych studiach „Wieś". W ciągu minionych 3 lat staraliśmy się dać zagadnieniu warstwy chłopskiej podbudowę historyczną, dla stosunków politycznych, społeczno-gospodarczych i kulturalnych, sięgając do połowy XIX wieku.

W pracy prof. J. Szczepańskiego zasługuje na szczególną uwagę kilka zagadnień, ujawniających zupełną zgodność z badaniami prowadzonymi przez „Wieś".

W życiu warstwy chopskiej **widzenie kapitalizmu było znacznie mniej ostre niż w klasie robotniczej.** Może dlatego, że niektóre zjawiska związane z kapitalizmem, jak np. stosunek wyzysku, czy proces koncentracji kapitału występowały na wsi w daleko dyskretniejszej formie niż to było w przemyśle. Poza tym odcinanie się ruchu ludowego od robotniczego, od marksizmu, odbierało automatycznie wsi możność naukowego poznania mechanizmu kapitalistycznej gospodarki.

Stąd też, co już zupełnie wyraźnie podkreśla prof. Szczepański, w ideologii wiciowej położono główny nacisk na **walkę z pogardą kulturową chłopa,** a nie na walkę o lepszą sytuację gospodarczą i prawa polityczne. „Stąd też — czytamy w omawianej pracy — motyw godności człowieczej w chłopie przewija się jako główna oś krystalizacyjna ideologii młodzieżowej".

Ruch wiciowy z lat międzywojennych miał wprowadzić chłopa w „słoneczność myśli", „uczłowieczyć" go, ale nie przez próby osiągnięcia wysokiego poziomu życia gospodarczego i uzyskania pełni praw politycznych. Walka toczyła się „na płaszczyźnie ducha" i mogła być, zdaniem wiciarzy, wygrana jakimś romantycznym sposobem — potęgą ducha, czystością słonecznych myśli, a nie—jak pisze prof. Szczepański — „grą taktyczną i operowaniem elementami siły i realnych warunków rzeczywistości".

Wreszcie trzecie zagadnienie wysunięte przez autora omawianej pracy — rozdroże wiciowe w pierwszych latach po uzyskaniu niepodległości. Wynika ono z dwu poprzednich.

Zadumane i szukające „w głębi duszy człowieczej" „Wici" przechodziły z trudem do pracy społeczno-gospodarczej i politycznej w nowym ustroju. Stara ideologia nie mieściła się w nowym roboczym planie narodu. Zaszła potrzeba wypracowania nowego programu. „U podstaw nowego programu „Wici" — pisze prof. Szczepański — należałoby zatem położyć jako założenie naczelne, **analizę położenia obecnego warstwy chłopskiej w Polsce".**

Oczywiście, że tak. Należy tylko dodać, że sprawa chłopska staje się obecnie własnością nie tylko samych „Wici", ale całej młodzieży narodu, tworzącej przecież jedną organizację. W ramach tej organizacji wiciowe pokolenie młodych chłopów uzyskuje i może zrealizować wielką szansę historyczną, zająć pozycję jakiej „chłop dotychczas nigdy nie zajmował". Są to — powtarzam za prof. Szczepańskim: „1) Udział w tworzeniu narodowego programu gospodarczego i jego realizacji, 2) Aktywizacja wsi przez wprowadzenie jej bez reszty w nurt życia narodowego i do ogólnych zagadnień i prądów kultury europejskiej, 3) Rozszerzenie zadań wychowawczych na wychowanie gospodarcze i polityczne".

NARÓD

Piotr Chmura

Upowszechnienie kultury

W TEJ chwili na pierwszym froncie upowszechnienia kultury znajduje się książka. Idzie o dobór biblioteczki, o formy propagandy i ludzi, którzy ją po wsiach przeprowadzą, o organizatorów instytucyj czytelniczych i funduszów spółdzielczych bibliotek.

We wszystkich tych sprawach trzeba odkryć **opory**, jakie akcję czekają i odkryć **środki i narzędzia**, jakie pomogą opory przezwyciężyć i czytelnictwo upowszechnić.

Mieczysław Grad, pisząc o klasycznym wychowaniu wiciowym*) (z lat 1929 — 38) wskazał na współistnienie w nim elementów ideologii i techniki wychowawczej, należących do trzech etapów rozwoju społecznego: 1) typu przedkapitalistycznego, 2) liberalno-kapitalistycznego, i 3) późno-kapitalistycznego (z pogranicza kapitalizmu i socjalizmu).

Krytyka wychowania wiciowego, jaką prowadziła „Wieś" przez kilka lat (1945 — 48, a w szczególności artykuły Króla i Kamieńskiej) odsłoniła kolejno dwa pierwsze etapy.

Typologia Grada ma więc mocne oparcie w szczegółowych studiach „Wsi". Da się z niej wyprowadzić kilka wniosków ważnych dla akcji upowszechniania czytelnictwa na wsi.

I.

1) Instytucjonalne zorganizowanie wsi typu przedkapitalistycznego całkowicie uchyla możliwość masowego wdarcia się na wieś książki. A ten typ reprezentuje wzorowa wieś **parafialna**; w olbrzymiej ilości wsi, formacja ta interferuje z historycznie późniejszymi. Ogranicza ona stosunki międzyludzkie do kontaktów osobistych, „twarzą w twarz", nie wypuszcza poza więź sąsiedzką, akcentuje moralność jednostkową nie udostępniając takiego wyposażenia intelektualno-technicznego, które by pozwoliło na włączenie odpowiedzialności moralnej jednostki w historyczną odpowiedzialność zbiorową klasy i narodu i umożliwiło jej (przez wiedzę i nowe formy organizacji) tę współzależność zrealizować. Mamy tu w miejsce programów personalne autorytety.

2) Książka — poza modlitewnikiem czy „Orędownikiem", poza kalendarzem (ureligijnionym) i poza ubocznym produktem tej formacji kulturowej — literaturą straganową (choćby w nowoczesnym wydaniu „powieści co tydzień") nie ma do tego typu wsi dostępu. Jeśli to wieś mieszana już socjologicznie, o tyle — nie ma dostępu.

3) Odliczyć tu trzeba kobiety, najmocniej „uspołecznione" w kulturze parafialnej. Odliczyć trzeba plebana, jako formalnie posiadającego autorytet w tej właśnie kulturze: dlatego nie do użycia w propagandzie książek nowej biblioteczki.

Mało, trzeba się liczyć z oporami z tych dwóch źródeł.

II.

Anna Kamieńska pisała we „Wsi" o przodownikach kultury**), jakich wytwarzała kapitalistyczna formacja na wsi. Dwie sprawy w szczególności zwracają tu uwagę.

1) Sięganie po wyższą kulturę (książkę, obraz, umeblowanie, strój) według wskazań **estetyki drobnomieszczańskiej**

2) Uzyskiwanie takiego wyróżnienia osobistego (przez osiągnięcie umiejętności artystycznych, czy posiadanie „towaru" artystycznego) jakie pogłębia różnice **społeczne na wsi.**

a) Wantuła (ur w r 1877) nie przyjął redaktorstwa, **bał się, że przestanie być chłopem**, nie chciał wobec wsi uchodzić za „panka". Ale jego mania bibliofilska (zabytki staropolskie i apokalipsy) wyłączyła go kulturowo ze wsi. Czczono go w okolicy, jako tajemniczą, uczoną głowę na równi z księdzem również posiadającym tajemnice ewangelii, ludowi nieznane. Bibliofilstwo Wantuły było wkroczeniem w naukę zgodnym z drobnomieszczańskim wyznaczeniem jej zadań o erudycyjnym charakterze.

b) Chełpiński, który zostaje organistą, nauczycielem, wreszcie dependentem w Kołomyji, upowszechnia, jako działacz oświatowo-ludowy, idee solidaryzmu, indywidualnych cnót i wartości człowieka. Przybliża je wsi, czerpiąc z literatury ludomańskiej inteligencji. Sens i oparcie miały one w tej części wsi, jaka przez spółki i Kasy Stefczyka wchodziła w kapitalizm pomyślnie. Jej wyróżnienie gospodarcze umacniało kulturalne wyposażenie, potwierdzające słuszność zabiegów drobno- kapitalistycznych, odcinających ją od wsi biednieją-cej i proletaryzującej się.

c) Jeszcze jeden przykład Kamieńskiej. — Wł Front, malarz z bożej łaski, realista w stylu landszaftów spod Saskiego Ogrodu. Nie tylko w malarstwie przyjął styl drobnomieszczańskiej kultury. I w jego pracowni „krzesełka niby przeniesione z kancelarii parafialnej, gałąź palmy, ołtarzyk domowy i dewocjonalia". Na niedawno reprodukowanej fotografii Zaraniarzy z r. 1911 oglądaliśmy akcesoria tego samego stylu drobnomieszczańskiego w jego późniejszym wydaniu (z przedmieścia wielkiego miasta). Tużurki, wysokie kołnierzyki, dewizki na kamizelkach, na drugim planie pianino, flakon i gipsowa figurka Afrodyty.

3) **WNIOSEK.** I ta tradycja nie sprzyja upowszechnieniu projektowanej biblioteczki. Dobrą bazą materialną jest chłopstwo bogate, ale złą kulturalnie.

Izoluje ono, nie uspołecznia wytworów kultury, jakimi się ozdabia; dobiera taki ich rodzaj, jaki intelektualnie i estetycznie potwierdza i umacnia jego gospodarczą inicjatywę prywatną.

III.

Przeciwko tym tradycjom działa w niemałym stopniu, to co **J. A. Król** w artykule „W promieniu 50 wsi"*) nazwał próżnią historyczną. Przedkapitalistyczna i drobnokapitalistyczna formacja wsi wyrażają tak wielkie zapóźnienie, że obie trwają tylko dlatego, że nie zostały zaatakowane, że im planowo niczego nie przeciwstawiono. Wystarczy przypomnieć politykę sanacji, utwierdzającą ten stan i fałszywą obronę „słowiańską" i „agrarystyczną" Wici przed wojną, aby zrozumieć wyczerpanie się ideologiczne i rzeczowe tego dna historycznego Polski.

1) W ostatnim numerze „Wsi" **Piotr Chmura** zwracał uwagę na to, że czytelnictwo na wsi winno być zorganizowane: a) na zasadzie miejscowych spółdzielni bibliotecznych b) w oparciu o lokalne tradycje społecznych prac i ruchów.

2) Rozszerzanie bibliotek musi iść etapami. Najpierw trafić na te wsie, gdzie skupienie nowych instytucji jest najgęstsze: Spółdzielnia Gminna Z.S.Ch., P.R.W., szkoła 7 oddz., Uniw. Lud., partie, mocne koło młodzieżowe.

3) Ważna jest sprawa wychowania nowych przodowników kultury na wsi. Tu nie małą usługę oddać może „Służba Polsce", Korespondencyjne Kursy Spółdzielcze, z których — o czym napisał **Jażdżyński** — w tym roku mieć będziemy już 9000 abiturientów.

Powiększenie **miejscowej** inteligencji chłopskiej — technicznej i humanistycznej — winno być ujęte **rejestralnie** przez ośrodek, który pragnie wybrane książki wielu wydawnictw, spopularyzować na wsi. Każda formacja społeczno — kulturalna ma swoich przodowników, swoich wzorowych popularyzatorów. Nie są oni dziś gotowi, stają się. I stawać się będą o tyle szybciej i pełniej o ile im pomożemy. Oni stanowią pierwszy front jaki bodaj **obdarzyć** nam trzeba nowymi biblioteczkami!. Sygnalizowała go A. Kamieńska, pisząc o korespondentach wiejskich, przełamujących opinię publiczną typu parafialnego, na rzecz opinii publicznej o zasięgu i znaczeniu narodowym.

4) W projekcie Króla („W promieniu 50 wsi") na akcję tę (i szerzej nawet pomyślaną) rzucić można 150.000 młodzieży licealnej i akademickiej w trzech okresach na rok (Boże Narodzenie, Wielkanoc, wakacje). Tak zw. „nauce o Polsce współczesnej i świecie" — wyraźnie brakuje zaplecza, jakim byłoby praktyczne zastosowanie przez młodzież tej wiedzy. Nauka o Polsce współczesnej wyparowuje, uczy bowiem **o funkcji społecznej** w jakiej należy w przyszłości zawód uprawiać, nie uczy, jak do tej funkcji dochodzić, jak włożyć się w nią już podczas studiów. Dlatego i sam przedmiot nabrałby atrakcyjności i stałby się użyteczny, gdyby uzupełniała go masowa praktyka młodzieży w ekspedycjach na wsie i miasteczka (bez kosztów — kierunek bowiem — w rodzinne strony).

Akcję tę trzeba zorganizować!

5) Początek jej tkwi a) w analizie socjologicznej stanu kulturalnego i instytucjonalnego polskich wsi i miasteczek b) w programie zagadnień, i spraw, z jakim młodzież pójdzie w teren c) w skoordynowaniu akcji czytelniczo-bibliotecznej z tymi masowymi wyprawami.

6) Dlatego zagadnienie upowszechnienia czytelnictwa cofnąć należy jeszcze dalej, aż do uzgodnienia naukowych ocen na wszystkie dziedziny życia kultury. Ostatni artykuł D. Gałaja o prof. Stysiu we „Wsi", czy Brzozy (Nowe Drogi) o prof. Sandlu, czy wreszcie analiza biblioteczki „Portrety Literackie" (w tym numerze) L. Sobierajskiego, ostrzegają przed **popularyzacją** kiedy to, co ma być popularyzowane, **stanowi wciąż jeszcze splot sprzecznych poglądów.**

*) Młoda Myśl Ludowa Nr 3—4 z br.

**) „Wieś" Nr 45 (124), 49—50 (128—129).

*) „Wieś" Nr. 17 (146).

Najmłodsi

Maciej Koliba

Struktura społeczna wsi

Jerzy Tepicht w artykule: „Badania próbne struktury wsi polskiej" (Nowe Drogi Nr 8), poddaje pierwszej analizie ankietę, przeprowadzoną w około stu wsiach z różnych okolic Polski przez Departament Ekonomiczny Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych. Inicjatorem ankiety jest Biuro Studiów Wydziału Rolnego KC PPR. Zasadniczym celem ankiety jest zebranie materiału, z którego można by odczytać, jaki jest kierunek rozwojowy wsi polskiej, czy zgodnie z założeniami demokracji ludowej, idzie on po linii „wzrostu ilości i mocy niekapitalistycznych, rodzinnych gospodarstw średniorolnych", czy przeciwnie daje się w nim zaobserwować proces „codziennego rodzenia się kapitalizmu". Jest to sprawa najpilniejsza do ustalenia; pozostawienie w socjalistycznym ustroju drobnej własności rolnej, musi pociągnąć za sobą czujną obserwację ze strony państwa, by na tym odcinku nie odżywały formy kapitalistycznej gospodarki. Dokładny obraz dzisiejszej wsi jest według Tepichta trudny do uchwycenia; żeby go dobrze wypunktować, należy wciągnąć do rozważań cały szereg elementów. O tym, czy gospodarki chłopskie stają się kapitalistyczne nie decyduje tylko to, że chłop jest właścicielem określonych środków produkcji lub, że posługuje się nadto pracą najemną, ale także i to, że może on być członkiem „kapitalistycznego przedsiębiorstwa wynajmu maszyn", że jego usługi w ramach pomocy sąsiedzkiej mogą przeradzać się w wyzysk chłopa nie posiadającego konia, że wreszcie reprezentuje on niekiedy kapitał handlowo-spekulacyjny, który może na terenie wsi konkurować z handlem państwowo - spółdzielczym.

Wyrobienie sobie właściwego sądu o sytuacji wsi, a co za tym idzie i możności pokierowania jej rozwojem, uzależnione jest od dokładnego zbadania jej struktury społecznej. Takie zadanie postawili sobie inicjatorzy ankiety. Przede wszystkim, zbadać wieś pod względem jej rozwarstwienia społecznego, uchwycić jakie w niej grupy społeczne się wyodrębniają. Przeprowadzona w 98 wsiach ankieta jest tu robotą wstępną, mającą wypracować metodę dla badań masowych, zleconych GUS-owi.

Badania wsi, jako odrębnych całości, powtarzane na dziesiątkach przykładów pozwolą metodą naukowo - sprawdzalną wykryć te wszystkie czynniki, które wieś hamują w jej rozwoju. Dopomoże w tym ostre uwyraźnienie w obrazie wsi grup społecznych. Zaszeregowania do grup społecznych, ankieta dokonuje na podstawie takich kryteriów: „obszaru gruntowego, stosunków pracy, stopnia umaszynowienia (i wynajmu maszyn), stopnia zaopatrzenia w konie (i wynajmu koni) oraz w inny inwentarz żywy".

Jerzy Tepicht demonstruje nam metodę badań na wsi poznańskiej Parkowo, z powiatu obornickiego. Wyniki analizy są bardzo instruktywne. Obserwujemy tu najściślejszą współzależność takich czynników, jak obszar, stosunki pracy, umaszynowienie. Gospodarstwa średniorolne od 7 do 10 ha, stanowią najliczniejszą grupę wsi Parkowo. Ankieta pokazuje jedną z najważniejszych spraw dla ogólnej gospodarki narodowej mianowicie stopień utowarowienia poszczególnych typów gospodarstw. Wniosków, jak ostrzega autor artykułu, nie można tu pochopnie wyciągać. Prawdziwość danych będzie można potwierdzić dopiero przez zestawienie z wynikami innych wsi. Utowarowienie gospodarstw będzie ulegało dużym zmianom w miarę specjalizacji i rejonizacji.

Przyjrzyjmy się teraz, jakie elementy stwarzają podstawę do wydzielenia grup społecznych we wsi Parkowo. W naszej prowizorycznej, na Tepichcie opierającej się, tabelce nie uwidaczniamy grupy pierwszej — 56 rodzin mieszkających na wsi. Są to bezrolni (40 rodzin) i działkowicze (16 rodzin). Na grupę tę składają się ludzie utrzymujący się z dochodu spoza wsi (kolejarze, pracownicy leśni, robotnik fabryczny), pracownicy umysłowi, oddający usługi wsi (nauczyciele, pracownicy ZSCh.), rzemieślnicy wiejscy, robotnicy rolni, przedsiębiorcy kapitalistyczni bez ziemi (właściciel sklepu, przedsiębiorca wynajmu maszyn). W tabeli uwzględniamy 5 grup, wiążących swój dochód z posiadaniem ziemi, od drobnorolnych do grubych gospodarzy.

Ilość inwentarza żywego podajemy przeciętnie na gospodarstwo; umaszynowienie podajemy wg. klasyfikacji Tepichta, który wyodrębnia 5 klas.

Utowarowienie podajemy na podstawie sprzedawanych z ogólnego plonu: żyta, pszenicy, owsa, jęczmienia oraz ziemniaków. Nie włączona tu jest gospodarka mleczna, gospodarka drobiem oraz sprzedaż trzody chlewnej.

Grupa gospodarstw	Ilość gosp.	Stosunki pracy			Inwentarz żywy			Umaszynowienie	Źródła utrzymania		Przeciętne utowarowienie
		gospodarstwo samodzielne	oparte na pracy najemnej	wynajmujące ludzi, konie i narzędzia	konie	krowy	świnie		własna gospodarka	wynajem ludzi, koni, narzędzi	
II (od 0,5 do 3,5 ha)	16	dopłacają konie i narzędzia	—	—	brak	—	—	brak	własna gospodarka	wynajmują siebie do pracy, rzemiosło	—
III (3,5 do 7 ha)	15	samodzielne	—	—	1	1,25	1,46	II klasa	własna gospodarka	—	8%
IV (od 7 do 10 ha)	39	samodzielne	—	wynajem koni	1,25	2,26	1,72	53% do IV kl. 47% do II i III kl.	własna gospodarka	wynajem koni	10%
V (od 10 do 19 ha)	34	—	oparte w części na pracy najemnej	wynajem koni i narzędzi	2	3,57	2,70	IV klasa	własna gospodarka	wynajem koni i narzędzi	13%
VI (od 19 do 26 ha)	12	—	oparte w 50% na pracy najemnej	wynajem koni i narzędzi	2,3	6,25	4,33	IV klasa	własna gospodarka	wynajem koni i narzędzi	20%

Artykuł Tepichta sygnalizuje nam bardzo cenną akcję badawczą. Jej wyniki pozwolą państwu zorientować się, jaką na odcinku rolnym należy poprowadzić politykę, by rozwój wsi dokonywał się prawidłowo, zgodnie z założeniami nowego ustroju. Tepicht kończy swą analizę stwierdzeniem, że „walka o kierunek rozwoju wsi trwa". Zadaniem państwa jest jak najdalej idąca pomoc gospodarstwom słabszym „rodzinnym", które nie mają w swojej strukturze żadnego z kapitalistycznych elementów. Z punktu widzenia ustroju demokracji ludowej, proces rozwoju wsi winien iść w kierunku jej „średniaczenia". Średnie gospodarstwa rolne (od 7 do 10 ha) w oparciu o spółdzielcze ośrodki maszynowe, w oparciu o spółdzielcze przetwórstwo, zorganizowane w związkach branżowych, mogące szerzej korzystać z kredytów, będą najzdrowszym typem gospodarstw, mieszczących się dobrze w ramach nowego ustroju.

Szczepan A. Pieniążek

DLACZEGO NIE WRÓCILI?

STANLEY SHULSKY miał dobrą głowę do interesu. Jego polska restauracja na 43-ciej ulicy tuż przy Broadway'u miała ustaloną sławę. Schodziła się w niej tłumnie polska emigracja. Nawet rdzenni Amerykanie zaglądali tu często na egzotyczne potrawy, przygotowywane pod czujnym okiem Mrs. Shulsky, szczelnie wypełniającej bogaty i piękny strój krakowski.

W roku 1942 Mr. Shulsky kupił za grosze stary i zbankrutowany pensjonat w górach Catskills o cztery godziny jazdy na północ od New Yorku. Dziwili się znajomi nierozważnemu postępkowi Stanleya. Prawda że pensjonat znajdował się w pięknej okolicy, ale ruchu tam nie było, jakżeż można było marzyć o tym, że da on skromny choćby dochód?

Mr. Shulsky pięknie odnowił okazałą budowlę i zajął się reklamą. Do gazet ogłoszeń nie dawał W przeciągu tygodnia odwiedził redakcje nowych polskich pism emigracyjnych, oraz ważniejsze skupiska braci uciekinierskiej w New Yorku i Washingtonie. Jako rezultat na każdy miesiąc letniego sezonu miał zapewnionych przynajmniej dwóch byłych ministrów-pułkowników, jednego literata i jednego aktora. Najpierw, w kółku jego znajomych, potem w coraz to szerszych kołach Polonii rozeszła się wieść o otwarciu pensjonatu „Pulaski—Kosciusko" w Hunter, N. Y. i o wybitnych osobistościach ,które zamierzają tam spędzić wakacje.

Odtąd już na każdy sezon wszystkie miejsca w pensjonacie wykupione były na trzy miesiące naprzód Mr. Shulsky zyskał sławę mecenasa literatury i sztuki, bo hojnie szafował zapewnieniem bezpłatnego pobytu w pensjonacie tym, którzy „sławę imienia polskiego szerzyli na obczyźnie". Mrs. Shulsky skrzętnie zbierała zielone banknoty od restauratorów, księży, wędliniarzy, adwokatów, lekarzy i właścicieli domów pogrzebowych, dla których taka rzecz, jak cena małego pokoiku niewielką stanowiła różnicę wobec faktu, że będą mieli możność rozmowy z samym panem ministrem, największym poetą polskim, albo z najsławniejszym śpiewakiem.

We wrześniu 1945 roku pokój panował już na obu półkulach, ale wracać nie było można, bo statki pasażerskie nie kursowały jeszcze między New Yorkiem i Gdynią. Te osiem lat, które przeżyliśmy w Ameryce, spędziliśmy w małych miasteczkach uniwersyteckich. Ze starą Polonią utrzymywaliśmy bardzo luźne stosunki, bo jej w tych okolicach nie było, a z nową emigracją, uciekinierami wojennymi, nie mieliśmy możności się zetknąć. O tym, co myślą i czują, dowiadywaliśmy się z nowojorskiego „Tygodnika Polskiego". Był to organ „Niezłomnych", co pod nowy „zabór rosyjski" nie chcieli wracać. Zapragnęliśmy poznać tych ludzi przed odjazdem, aby móc o nich coś powiedzieć po powrocie, bo wiedzieliśmy, że napewno będą nas o to pytać. Wrzesień jest najpiękniejszą porą roku w tej części Stanów Zjednoczonych. Za protekcją znajomych zdobyliśmy na tydzień pokój w pensjonacie „Pulaski—Kosciusko".

Przyjechaliśmy już na wieczór. Następnego dnia była niedziela. Po paru godzinach byliśmy już zżytymi członkami całego towarzystwa. Tak to się zwykle dzieje, gdy się Polacy zejdą za granicą Nie ma sekretów, języki się rozwiązują, można ludzi poznać szybko i łatwo. Nie przeszkadzało nam nawet i to, że wieść zdążyła się już rozejść o naszych przygotowaniach do powrotu.

Naszym sąsiadem był niestary jeszcze poeta. Chociaż na poezji nic się nie znam, zawsze coś mnie do niej ciągnęło. Dobry wiersz wolałem od najlepszej powieści. Korczyńskiego uwielbiałem od dzieciństwa. Teraz po raz pierwszy zetknąłem się z nim osobiście. Wypoczywał tu miesiąc, miał zostać do końca września. Potem wróci do swej pracy. Gdzie pracuje? Nie dostałem jasnej odpowiedzi. Dopiero później powiedziano mi, że resztę roku spędza na farmie u sławnego muzyka polskiego piastując stanowisko przyjaciela z lat dziecinnych.

Byłem najmłodszy w całym gronie. Najbliższy mi wiekiem Milczyński, absolwent jednej ze szkół technicznych, pozostawił żonę i dwoje dzieci w Warszawie. Miewał już od nich listy. Wysoki, szczupły, przystojny, z twarzy jego można było wyczytać podwójną tragedię, jaką przeżywał, narodową i osobistą. O obu długo i chętnie opowiadał.

Wrócić nie może. „Mnie by przecież powiesili pierwszego po Matuszewskim" mówił z godnością. Wprawdzie od bardzo wielu osób słyszałem zapewnienie, że im się to pierwsze miejsce na szubienicy po Matuszewskim należy, ale Milczyński sądził, że on tylko miał do tego prawo bo pracował jako osobisty sekretarz u jednego z sanacyjnych pułkowników.

Zawsze zdawało mi się, że dla poznania człowieka warto dowiedzieć się z czego żyje. Milczyński miał swoją pensję sekretarza, a oprócz tego zarządzał, wprawdzie na odległość, dużą farmą pewnej pani, której mąż już od dwóch lat siedział w niewoli japońskiej. Sama właścicielka mieszkała w New Yorku, Milczyński odnajmował u niej niewielkie mieszkanko.

Pietrzyński reprezentował naukę polską na ziemi Washingtona. Był przecież profesorem medycyny na jednym z uniwersytetów w New Yorku. Jego żona, doktór filozofii, zyskała sobie uznanie jako wytrawny krytyk i historyk sztuki. Rozmiarami, powagą i namaszczeniem bardziej wyglądała na profesora, niż jej mąż, niewielki, szczuplutki człowieczek lat około 40.

Pietrzyńscy dopiero od 12 udzielali się towarzystwu. Pani doktór już o ósmej rano siedziała przy dużym stole pod klonem i rozkładała trzy teczki. Na jednej widniał duży napis: „Korespondencja do załatwienia", na drugiej „Korespondencja załatwiona", oba napisy po polsku. Trzecia teczka nosiła angielski napis: „Materiały do pracy nad wkładem polskim do ogólnoświatowej skarbnicy sztuki". Pan profesor zjawiał się na trawniku o dziewiątej i pod czujnym okiem żony przez trzy godziny pisał także jakąś rozprawę.

Jako drugi przedstawiciel świata naukowego rozmawiałem często z Pietrzyńskim. Wiedziałem, że oboje Pietrzyńscy przyjechali do Ameryki jeszcze około roku 1930 i do kraju nie wrócili. Dlaczego? Tego byłem ciekaw, ale, jako człowiek nie wojowniczy, miłujący pokój nade wszystko nie chciałem o to pytać, aby nie wprowadzać do dyskusji niepotrzebnych zgrzytów.

Zdarza się w życiu, że ludzie miłujący pokój mają żony mniej pacyfistycznie nastrojone, które nie obawiają się zgrzytów i taką właśnie jest moja żona. Kiedyś więc w większej grupie rzuciła pytanie Pietrzyńskiemu dlaczego nie wraca do kraju. Odpowiedź była oczywista, przecież drugie miejsce na szubietnicy po Matuszewskim itd., ale ciekawsze było umotywowanie wniosku: „bo należałem do Związku Obrony Kresów Zachodnich".

Nie zdążyłem jeszcze pomyśleć, dlaczego komuniści wieszać mają kogoś za Kresy Zachodnie, gdy padło drugie pytanie z ust mojej żony i wokoło zapanowała cisza.

„Proszę pana, pan wraz z żoną wyjechał z Polski w roku 1930. Wysłał was Fundusz Kultury Narodowej. Przez trzy lata aż do skończenia studiów pobieraliście polskie stypendium. Dlaczego nie wróciliście do kraju między rokiem 1933 i 1939? Czy też obawialiście się szubienicy? Czy też po prostu, mając szanse zostania profesorem w Ameryce, wolał pan zapomnieć o pieniądzach z polskich podatników zbieranych na pańskie stypendium?"

Powtarzam raz jeszcze, nie lubię zgrzytów. Patrzyłem ponuro w ziemię, mając żonie za złe, że sprawę tak ostro i niedelikatnie postawiła. Może i miała prawo tak mówić, bo mnie też Fundusz Kultury Narodowej do Ameryki wysłał, też przez cały jeden rok płacił stypendium, ja też w Ameryce dostałem profesorską nominację.

Notuję wyjaśnienia Pietrzyńskiego, chociaż mało ciekawe, ale autentyczne. Oto po uzyskaniu doktoratu wrócił do Poznania na Uniwersytet, aby objąć czekającą na niego pracę. Ale na to samo stanowisko był inny kandydat, ojciec dwojga dzieci, któremu za parę tygodni miały jeszcze przyjść na świat bliźniaki. Pietrzyński nie miał serca zabierać mu posady. Z żalem wrócił do New Yorku dla sakramentalnego „szerzenia sławy imienia polskiego na obczyźnie".

Byliśmy w Hunter z trzyletnią córką. Miała ona do towarzystwa rówieśnika Jasia Morell'a. Bawili się dobrze, chociaż Emilia nie rozumiała nic po polsku, a Jaś nic po angielsku. W obu wypadkach cel był podobny. Po co mieliśmy córkę po polsku uczyć? Po powrocie nauczy się sama, a bez trudu będzie miała opanowany drugi język. Morellowie zaś uczyli Jasia tylko po polsku, bo chcieli, żeby tego języka nie zapomniał, gdy pójdzie do angielskiej szkoły.

Morellowie oboje przypadli nam do serca. Pochodzili z żydowskich rodzin wileńskich. Ani on, ani ona nikogo nie mieli na świecie. Wszyscy zginęli po gettach i krematoriach. Zdaje mi się, że w tak młodym wieku Morellowie zbyt głęboko przeżywali swoją tragedię. Ich jednych nie śmieliśmy zapytać, dlaczego nie wracają do cmentarzyska swego narodu.

Steinowie, ostatnio zmienili nazwisko na Stene, byli mieszanym małżeństwem. On pochodził z żydowskiej rodziny z Warszawy, ona zaś, jasna blondynka o niebieskich oczach, z Krakowa. Mieli dwie córki, zupełnie podobne do matki.

Stein był inżynierem elektrotechnikiem. Doskonale zarabiał przed wojną w Polsce, zgromadził nawet spory majątek. Teraz piastował wysokie stanowisko w firmie „Westinghouse".

„Po cóż mam rzeczy w bawełnę owijać — mówił do mnie. — Nie wracam, bo mi tu wygodnie. Mam już lat pięćdziesiąt, lubię życie beztroskie, spokojne. Nie mógłbym znieść powojennych, trudnych warunków w Polsce, gnieść się w trzech może pokoikach w zniszczonej Warszawie. Tu zarabiam doskonale. Nazwisko zmieniłem, bo wiem, że i w Ameryce antysemityzm jest powszechny. Moje córki są katoliczki, blondynki, mają niebieskie oczy, już na nie nikt nie powie, że są żydówkami".

Do Steina miałem swoistą sympatię. On jeden podał prawdziwy powód, dla którego ludzie nie wracali. Absolutny brak ambicji, pieczeniarstwo, wygodnictwo — to wszystko.

Dlaczego pomijam stronę ideowo-polityczną? Po prostu dlatego, że to czynnik wtórny. Wielu z tych ludzi miało kiedyś zupełnie postępowy pogląd na świat, niektórzy bliscy byli ruchowi socjalistycznemu. Teraz gwałtownie przerabiali się w prawicę, w reakcjonistów. Aby pokryć swe wygodnictwo, powoływali się na patriotyzm, robili z siebie przeciwników nowej demokracji. Wierzyli we wszystko, co słyszeli od Matuszewskich i Borów. W rok czy w dwa można już było nazwać ich reakcjonistami, ale jeszcze nie wtedy. Zbyt wiele zaszczytu przynosiłoby im to miano. Ot — po prostu ludzie bardzo mali, bardzo przyziemni.

Tadeusz Rokitniak

Rusycysta pod „ścianą płaczu"

NAUCZYCIELE JĘZYKA I LITERATURY ROSYJSKIEJ

Przed dwoma miesiącami Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego zorganizowało kilkutygodniowy kurs dokształcający dla nauczycieli języka rosyjskiego. Jeden z wykładowców — człowiek zresztą młody — zwierzył mi się z rozbrajającą szczerością, że do wykładów literatury społecznej II poł. XIX w. przygotowuje się między innymi z... bryka omawiającego „Szlacheckie gniazdo" Turgeniewa. Pokazał mi tę niezastąpioną pomoc naukową — rok wyd. 1912 — kilkunastostronicową książeczkę zamyka syntetyczny rozdzialik p. t.: „Ideologiczne wyżyny „Szlacheckiego gniazda". Znakomity krytyk mocno chwali w nim Turgenjewa (w stylu naszych poczciwców literackich — „poeta ukochał...") za „pełen przedziwnego uroku obraz prawdziwie rosyjskiego dworu", nawoływanie ziemian do bardziej sprężystego niż dotąd administrowania własnymi majątkami itd.

Nie byłoby w tym nic złego, należałoby raczej pochwalić prelegenta, że wpadł na pomysł zilustrowania wykładu tak oryginalnym a jednocześnie przekonywującym dokumentem „urzędowej" popularności ziemiańskiego postępowca lat 60-tych w państwie o ustroju wstecznym. Rzecz w tym, że ów prelegent posłużył się brykiem w celu zgoła innym — po prostu streścił bezkrytycznie całą jego zawartość ex cathedra do wierzenia i przekazania maluczkim podał jako swe własne „postępowe" rozważania.

Prelegent jest podobno jednym z najwybitniejszych i najczynniejszych nauczycieli — rusycystów okręgu. Kto są ci kursiści, którym prelegent przekazywał tak współczesną wiedzę o literaturze?

Nauczyciel; języka rosyjskiego — obserwacje dotyczą Łodzi i wschodniej części Mazowsza — jest bardzo niewielu. Czynią wrażenie troglodytów z epoki kamienia... żółciowego. Ludzie starzy, dobrani przypadkowo.

Najpospolitsza metoda doboru — znajomy(a) kogoś spośród urzędującego grona nauczycielskiego — „zna język" — poczciwina.

Więc staruszka b. śpiewaczka opery petersburskiej, ongiś nauczycielka śpiewu, siedemdziesięcioletnia romanistka, „otiec błogoczestiwyj" — pop...

Pedagodzy ci — często obdarzeni kompleksem niechęci, częściej zupełni ignoranci w dziedzinie filologii rosyjskiej i zagadnień społecznych.

Zdarza się, że nauczyciel „przeświadczony" o braku pomocy szkolnych — mimo, że od dwóch lat dysponuje nieźle opracowanym podręcznikiem „Średi druziej" — ucieka się do pozostałych carskich „chrestomatij" sprzed pierwszej wojny z jej abstrakcyjnie — moralizatorskimi, naiwnymi oklepankami i niewspółczesnym słownictwem.

Trudno przypuścić, by gimnazjaliści wynieśli z tych lekcji rzetelną znajomość dzisiejszej Rosji i jej literatury.

Samo zaś nauczanie języka?

Naczyciel szamoce się z „nową" — bo wprowadzoną akurat przed 30 laty — ortografią. Zdarzyło się, że młodzież musiała wkuwać niezmiernie skomplikowane prawidła i wyjątki nieaktualnego od lat wielu „jat".

Czyż należy się spodziewać, że ten niewesoły stan rzeczy ulegnie za kilka lat radykalnej zmianie, kiedy to do pokojów nauczycielskich wejdzie zastęp młodych, świeżo upieczonych rusycystów?

STATECZNA NIERUCHLIWOŚĆ „ALMAE MATRIS"

Rusycystyka w Polsce reprezentowana jest na trzech zaledwie uniwersytetach: Łódź, Toruń, Kraków. W dwóch wypadkach na katedrach zasiadają... „zastępcy profesorów".

O jednym krążą słuchy, iż co prawda studiował przed laty w Petersburgu, bynajmniej jednak nie rusycystykę. Drugi, mimo przypadkowego — wina uniwersytetu przedwojennego — braku habilitacji, jest erudytą na skalę europejską, ma za sobą świetną przeszłość naukowo - popularyzacyjną, jednak jego doświadczenia metodologiczne przekraczają jedynie petersburską szkołę idealistyczną r. 1914... o formalizm.

W trzecim wypadku profesor to wybitny badacz wersyfikacji. Literatura rosyjska bynajmniej jednak nie stanowi centralnej dziedziny jego obszernych zainteresowań. Na Uniwersytecie Łódzkim przypuszczam, że na pozostałych ta sama sytuacja — wykładowca zmuszony jest „siedzieć na dwóch stołkach", co nie jest szczęśliwe dla całości studiów. Uniwersytet bowiem dysponuje jednoosobowym etatem na „profesora literatury rosyjskiej i języka".

Przyczyny tego niewesołego stanu rzeczy — dwie: pierwsza, o której się mówi — brak wykwalifikowanych sił. Druga, o której się nie mówi i z której sobie władze uniwersyteckie nie zdają najczęściej sprawy, tkwi w specyficznej atmosferze życia wyższych uczelni: nieufność w stosunku do „ludzi nowych" — ludzi... „z zewnątrz", tzn. spoza tradycyjnego, stykającego się na platformie towarzyskiej grona naukowców; kompleks wyższości w stosunku do krytyka drukującego raczej w czasopismach literackich; statyczność — błogie oczekiwanie, aż kandydat sam zgłosi się z chęcią uzyskania doktoratu i zdecyduje się na żmudną, często dość bałamutną drogę powolnego awansowania od niższych stopni urzędowej hierarchii uniwersyteckiej.

Posiadamy przecież niepospolitego znawcę dziewiętnastowiecznej i współczesnej literatury rosyjskiej w osobie Leona Gomolickiego. Nie wykłada dotychczas na żadnym z uniwersytetów. Wina na pewno nie leży tu po jego stronie.

TŁUMACZENIA

Przeglądam witryny księgarskie i notuję w porządku chronologicznym:

Puszkin — owszem. Wznowiono liryki w tłum. Tuwima. Pollak przełożył dramaty. Ktoś mi mówił, że przygotowuje i prozę Puszkina... O poematach , tym najważniejszym elemencie dorobku literackiego wielkiego Aleksandra — cicho, głucho. Nic — nie słychać, by „szło ku wznowieniu" doskonałego belmontowskiego przekładu „Oniegina".

Lermontow — najważniejsza po Puszkinie, tak artystycznie jak i ideologicznie, pozycja rosyjskiego romantyzmu — dotychczas wcale nieruszony. Podobno drukuje się wznowienie „Demona" w prymitywnym przekładzie Chylińskiego. Krok co najmniej niefortunny. „Demon" — dziwactwo mistycznej wyobraźni sam autor w ostatniej fazie twórczości oceniał go b. ujemnie — jest dziś najmniej aktualną pozycją w spuściznie autora „Bohatera naszych czasów" i nie od tego utworu należałoby zacząć zaznajamianie czytelnika polskiego z Lermontowem.

O Gogolu myśli się dość serio — brawo!

Bieliński, mimo, że w b. r. obchodzimy stuletnią rocznicę śmierci wielkiego krytyka — jest u nas nadal białą kartą.

Postępowy poeta - społecznik lat pięćdziesiątych Niekrasow, który znacznie wpłynął na linię naszej późno - romantycznej i pozytywistycznej literatury społecznej też — biała karta.

Nic w trawie nie piszczy o „Obłomowie" Gonczarowa.

Z Turgeniewa jedynie Bąk wydał „Ojców i dzieci" — powieść była jak wiadomo omyłką pisarza obserwującego Rosję od szeregu już lat z Baden — Baden. Należało przecież zacząć od „Zapisków Myśliwego", które, nawiasem mówiąc, nie miały jakoś dotychczas szczęścia w naszej literaturze przekładowej — poza przedpotopowym wyborem Jeske-Choińskiego.

Mniejsza o szeroko tłumaczonego i rozchwytywanego przed wojną Dostojewskiego, gorzej, że z Lwa Tołstoja pokazano dotychczas zaledwie pierwszy tom autobiograficznej trylogii — milutkie „Dzieciństwo". Gdzież wielkie powieści historyczne i obyczajowo - społeczne.

O Leskowie i Koroience — cicho wszędzie. Z Czechowa — fragmenciki. Od dwóch lat wszystkie księgarnie szczycą się i wystawiają przy każdej uroczystości narodowej samiutenką jak palec „Matkę" Gorkija.

LITERATURA WSPÓŁCZESNA

Kupiłem „Cichy Don" Szołochowa — niestety, nie dano mi ostatniego tomu — jeszcze nie przetłumaczono. Po miesiącu chcę kupić „Drogę przez mękę" Aleksego Tołstoja. Dwa tomy — owszem są — a trzeci? — Trzeci się nie ukazał. Co jest na Boga Ojca! Nie spotkałem przekładu „Dni i Nocy" Simonowa — książkę przełożono na kilkanaście języków.— ani też „Sputników" Panowej, za to widzę szereg pozycji beletrystycznych bez których możnaby się narazie obejść. Aha, jest „Poemat pedagogiczny" Makarenki, dobrze, ale to chyba mało.

Poza luksusowymi „Dwoma wiekami poezji" nie mamy dotychczas żadnych syntez, żadnego racjonalnego podręcznika literatury rosyjskiej. Gimnazjum szwankuje, uniwersytety — także, racjonalny dobór przekładów ma dać zespół wiedzy o Rosji i jej literaturze dla tej większości czytelników polskich którzy nie mają możności sięgnięcia do oryginałów. Zadania tego dotychczasowy powojenny dorobek przekładowy nie spełnia. Akcje tłumaczeniową cechuje najzupełniejsza bezplanowość. Dobór najczęściej przypadkowy — wynika m. i. z ignorancji wydawców. Niejednokrotnie w grę wchodzi prosta niesolidność. Nie sposób inaczej wytłumaczyć faktu puszczania na rynek przekładów niedokończonych, tym bardziej, gdy są to pozycje których szybkie tłumaczenie nie nastręcza większych trudności technicznych.

Nil desperandum.

DYSKUSJA O NAUCZYCIELSTWIE

Józef Pogan

Życie i praca nauczyciela

SYTUACJĘ materialną nauczycielstwa i ich żywot codzienny poznałem dobrze, zaprzyjaźniłem się bowiem we wsi i w okolicy z dwunastoma rodzinami nauczycielskimi. Odwiedzamy się wzajemnie i debatujemy nad różnorodnymi sprawami.

Jakie jest więc położenie materialne nauczycieli? Czy przypadkowo głos zrozpaczonej nauczycielki z Poznańskiego nie jest odosobnionym wypadkiem wskutek niezaradności życiowej? skrzywdzenia przez nieszczęśliwy los? i t. p.

Obiektywną ocenę tej sytuacji można wydobyć tylko na podstawie przeciętności, to znaczy nie brać w rachubę ni skrzywdzonych przez nieszczęśliwy los, ni też czymś „uszczęśliwionych". Czy warunki życiowe zależne są tylko od przychodowości? Tu decyduje ilość i wiek członków rodziny, ich zdrowie, decyduje zaradność życiowa, zasobność w odzież, sprzęty i t.d. i t.d. W tych wypadkach odchylenia bywają ogromne, których nie można w żaden sposób ujmować. A więc przeciętność trzeba wziąć za wzór i nią się wyłącznie kierować w ocenie.

Na dwanaście znanych mi nauczycielskich rodzin (połowa autochtonów, połowa repatriantów) — dwie tylko nie należą do przeciętności: jedna zamożna jeszcze sprzed wojny, druga z za Bugu doszczętnie zniszczona. Inni czy to Ślązacy, czy repatrianci żyją normalnie.

W ogólnym zestawieniu owa „norma" wygląda tak: jeśli nauczycielem jest mąż, to żona wykonuje wszelkie domowe prace i w dodatku szuka jakiegoś zarobku; jeśli uczą oboje, lub gdy jedno gdzieindziej pracuje, wtedy oboje podzielają domowy trud; jeśli nauczycielka jest wdową — to już jest zaharowana od szóstej rano do dziesiątej wieczorem. Bo żadna ze znanych mi nauczycielskich rodzin nie ma służącej, ani też nie najmuje posługaczek. Nie z chytrości, nie ze skąpstwa, broń Boże, tylko nie ma za co. To też skrycie, a często i jawnie narzekają na swój żywot, zrażają się do zawodu nauczycielskiego, a nawet go porzucają. Czterech mych przyjaciół przeszło do innej pracy i zarabiają nie po 7, a po 12 tys. zł mies.

Zastanówmy się pokrótce nad życiem i pozaszkolnym spędzaniem czasu paru nauczycieli.

Oto jeden z nich wracając ze szkoły wstępuje po drodze do mnie. Jest zawsze wesoły, „zaradny życiowo", zawsze węszy za jakimś zarobkiem, choćby nawet za najdrobniejszym.

— Józku, udało mi się wytrzasnąć kilkanaście żarówek — mówi zadowolony. — Zarobię choć na kawałek słoniny. Tobie sprzedam po cenie własnych kosztów, wypłacisz mi powiedzmy mlekiem.

Innym znów razem — Kup moje przydziałowe trzewiki, bo potrzebuję forsy na święta.

Albo jeszcze. — Wiem o niedrogim ubraniu. Kup, obydwaj coś na tym zyskamy.

Za każdym razem przerywam owemu „kupczykowi". — Pozostaw — że handel innym, bo przecież masz dość swoich obowiązków.

— Masz rację, tylko wiesz, że trzeba żyć jakoś, tak, aby nie stracić „fasonu nauczyciela". Tak cię cenią, jak cię widzą. Chłopi szanują albo „gospodarza", albo „pana". Trzeba się przecież jakoś różnić, aby mieć autorytet. Zadania poprawię w przeciągu godziny, a resztę czasu muszę gonić.

Goni więc, „jest zaradny życiowo". Dlatego też poza nabytą w seminarium wiedzą nie posunął się ani na krok, bo jak, gdy nie czyta nowoczesnych pism i książek. Czy taki nauczyciel wychowa należycie swych uczniów i czy sam nie wypadnie z ciągu kultury? Może już wypadł.

Ta **sztuka handlu** jest **odkryciem z czasów okupacji.** Czy koniecznie musi ją przedłużać nauczyciel? Oczywiście — nie. Handluje dla podniesienia autorytetu „pana" i stanu materialnego. Te dwa cele osiągnąć można inaczej. Pomijam tu zapewnienie władz państwowych o podniesieniu pensji nauczycielskich. Przed nauczycielem stoi jego lokalne zadanie — bić się o podniesienie znaczenia szkoły w okolicy. Brak na wsi **Komitetów Rodzicielskich.** Fundusze społeczne koła pozwoliłyby na 1) budowę i rozbudowę szkoły, 2) wyposażenie techniczne biblioteki, 3) świetlice, 4) przedszkole, 5) stypendia dla najzdolniejszych, 6) kursy dodatkowe (S. K. K., dokształcenie analfabetów itp.). Myślę, że na tej drodze uzyskać on może nowy, silny autorytet i podnieść swe warunki materialne (Komitet uchwala opłaty za czynności zlecone — dodatkowe).

Poniosły mnie refleksje, wróćmy do obrazków.

Odwiedzam nauczycielkę. Raz zastaję ją przy gotowaniu i sprzątaniu, to znów mokrą niby topielicę przy szorowaniu podłogi, przy praniu, a rzadko przy opracowywaniu następnej lekcji, czy przy czytaniu. Z początku wstyd jej było, że musi być praczką, sprzątaczką, teraz już wie, że ją rozumiem. Bo naprawdę pragnie być społecznie bardziej pożyteczną. Jest wysoce inteligentna, uświadomiona społecznie, trzeźwo myśląca. Żywo interesuje się sprawami społeczno - kulturalnymi i politycznymi. To też jest bezustannie zaharowana: po przyjściu ze szkoły pracuje fizycznie do wieczora, później czyta lub opracowuje następną lekcję.

Owa nauczycielka jest wdową, jedyne jej dziecko — osiemnastoletni syn skończył gimnazjum i kształci się dalej. Matka posyła mu co miesiąc dwa tysiące złotych na odzież i inne wydatki, trochę znów wyda na abonowanie pism, a resztę pensji starczy zaledwie na utrzymanie.

Inna nauczycielka też sama gotuje, sprząta, pierze, szoruje podłogę. Nie rąbie tylko drwa i wody nie nosi, bo mąż zrobi to po przyjściu z biura. Zresztą nie podołałaby już więcej, bo dzieci ma kilkoro i małe. Ta nauczycielka nie czyta wiele, najwyżej dziennik jaki mąż z biura przyniesie.

Reszta nauczycielstwa też mniej więcej w ten sposób żyje i pracuje. Pracują na „aby, aby". To też nic dziwnego, że uczeń ósmego oddziału pasąc krowy — na moje zapytanie: „kto zniszczył Warszawę?" — odpowiedział, że „Niemcy i Rusy". Tak mu powiedzieli w domu i tak też on powtarza, bo w szkole nie dowiedział się o tym. I to się nazywa wychowaniem pokolenia! A jak jest z czystością języka polskiego? Przekręcają każde słowo, „onacą" tak jak ich rodzice. I to wcale nie z przywiązania do zaśmieconej niemczyzną gwary, a tylko z nieznajomości należytych słów. To są ośmioklasiści szkoły powszechnej!

Pracą społeczna też wiele pozostawia do życzenia.

„Przedwojenna, seminaryjna wiedza" niewiele tu pomoże. Trzeba tę „wiedzę" uzupełnić nowymi zdobyczami, trzeba czytać, nie podłogi szorować, czy gonić za żarówkami.

W takim stanie tylko plebania zbiera owoce, bo nie wychowaną należycie w szkole młodzież łatwo jest ująć. Dowodem tego są Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży.

Słychać — a na walnym Zjeździe Z.N.P. mają to ministrowie potwierdzić — że państwo uczyni nowy krok (wzrost produkcji) dla podniesienia sytuacji materialnej nauczyciela, dla podniesienia losu, jaki nas wszystkich ludzi pracy spotkał przez powojenne zgliszcza i wiekowe zapóźnienie. Ten los jest jeszcze w części nasz, ale ślepym trzeba być, żeby nie widzieć, że przesuwamy go poza nas, jako historyczną przeszłość, przesuwamy wszyscy dla wszystkich i dlatego warto, aby nauczyciele tym mocniej pomyśleli o nowych, ludowych drogach dalszego wzmocnienia swego autorytetu i sytuacji materialnej.

W NASTĘPNYM NUMERZE O WALNYM ZJEŹDZIE Z. N. P.

Stanisław Cwenar

Kto nas okrada?

POMIJAJĄC kwestię, czy nauczycielstwo jest życiowo zaradne, czy nie, twierdzę wraz z A. Kamieńską*), że jest ono ciężko chore na złe samopoczucie w najszerszym tego wyrazu znaczeniu. Twierdzę nawet, że objawy tej samej chronicznej choroby występują nierzadziej niż u nauczycielstwa także i w niektórych innych grupach zawodowych. Jako skutki tego stanu rzeczy widzę: jakieś niezadowolenie, nieufność, apatię, bierność, wyczekiwanie, brak zapału, co w konsekwencji u dość znacznego procentu nauczycielstwa powoduje niezdolność do pozytywnego włączania się w bieg dokonujących się przemian polityczno - społecznych, gospodarczych i kulturalnych w roli współuczestników i współtwórców.

Powszechność i przewlekłość tej choroby podnoszą jej znaczenie w ogóle, a specjalnie u nauczycielstwa, albowiem przede wszystkim ono jest powołane do wszczepiania i ugruntowywania nowych idei Polski Ludowej.

Tymczasem nie czyniła tego owa, wzmiankowana przez ob. Kamieńską nauczycielka historii, która zapewne pięknie mówiła o reformach agrarnych w epoce Grakchów, ale... nie zdobyła się na zaktualizowanie tego zagadnienia. Wraz z nią nie czyni tego także i wielu innych nauczycieli.

Poważną chorobę należy koniecznie leczyć szybko radykalnie i możliwie bezboleśnie. Wpierw jednak należy odkryć jej przyczyny. I właśnie to dość skomplikowane zagadnienie wysuwam jako cel i kierunek naszych dalszych rozważań.

Według cytowanej przez autorkę statystyki MWR i OP z r. 1935/36 tylko 30% nauczycielek i 70% nauczycieli przyznawało się do proletariackiego pochodzenia (chłopi, robotnicy, rzemieślnicy, wyrobnicy). Stanowiło to 46% ogółu nauczycielstwa; 54% to córki i synowie rodzin zamożnych lub średniozamożnych, zatem niezbyt skłonnych do czynnego popierania obecnych, ustrojowo-gospodarczych przemian.

Grupa ta została niewątpliwie wydatnie zasilona przez tych dezerterów ze sfery chłopskiej i drobnomieszczańskiej, których psychika kształtowała się przed wojną pod wpływem dworu i plebanii.

Bynajmniej nie twierdzę, że nie mogło być i odwrotnie. Owszem, tu i ówdzie mogły się trafić „Siłaczki" Żeromskiego lub „Wiejska nauczycielka" z radzieckiego filmu.

Jakkolwiek by się rzecz miała, wydaje mi się niedorzecznością tolerować nadal powszechnie spotykane twierdzenie, że nauczycielstwo jest w 100% przygotowane do uczestniczenia w obecnych przemianach już z samej racji swego socjalnego pochodzenia.

Za drugi hamujący czynnik uważam zgodnie z autorką bezcelowość atmosfery, w której kształtowali się nauczyciele przed wojną, względnie pseudoideowość opartą na przesadnym kulcie jednostki.

Śmiem twierdzić, że ów nauczyciel, który na lekcji historii nie chciał, czy też nie umiał powiązać agrarnych reform Grakchów z naszą reformą rolną, duchowo nie wczuł się w ideę tyluwiekowej walki chłopa o ziemię.

Wiadomo, że na istotę demokracji składa się między innymi także i tzw. sytość, pojmowana w najszerszym tego wyrazu znaczeniu.

Zapytajmy się, co dotychczas zrobiono, aby nam tę sytość zapewnić?

Stawiam to retoryczne pytanie, pomimo, iż bez zastrzeżeń podzielam zdanie autorki, ob. Żółkiewskiego i wszystkich innych rozumnych ludzi, że materialna sytuacja nauczycielstwa jest zależna od ogólnej sytuacji gospodarczej Państwa. Chcemy wierzyć, że ta sytuacja w obecnej chwili jeszcze nie pozwala na wydatne podwyższenie naszych uposażeń.

A jednak?

Jednak wie to doskonale użalająca się na swój los koleżanka X. a wraz z nią wiemy to my wszyscy, że obecne nasze niewątpliwie bardzo ciężkie położenie materialne jest wynikiem nie tylko naszych niskich płac, ale — i to przede wszystkim — nierównomiernego rozkładania się dochodu społecznego.

Twierdzę, że nie dlatego mam mało, iż ze wszystkimi dodatkami, stołówką, ekwiwalentem za częściowo skasowane przydziały otrzymuję tylko 7.200 zł miesięcznie, lecz dlatego mam mało ponieważ np. lekarz odbiera ode mnie za 1 wizytę (prowicja—12 km) mój zarobek dwudziestodniowy, krawiec za szycie ubrania z przydziałowego materiału wartości 1.340 zł bierze 5 tysięcy złotych, a więc również mój dwudziestodniowy zarobek itd. itd.

U nich panuje przesyt przejawiający się w wyszukanych strojach, skupywaniu dolarów, biżuterii, realności itp. u nas nauczycieli — niedosyt żywnościowy, odzieżowy, opałowy, a nade wszystko — kulturalny. Stąd też pochodzi nasze złe samopoczucie.

Lecz nie tylko nasze.

Znam np. chłopa, który zmuszony był wezwać do połogu żony bawiącego tu w gościnie u teściów lekarza. Za czynności, które trwały najwyżej godzinę, zażądał ów „Judym" 10.000 zł, a po długich targach łaskawie przyjął 8.000 zł, tj. stawkę równającą się dla 3-morgowego chłopa, obarczonego ośmiorgiem dzieci, odjęciu od ust tych dzieci i położnicy każdego jajka i każdej kropli mleka na przeciąg jakiegoś roku.

Twierdzę, że ten chłop razem z nami i jeszcze wielu innymi też zachorował na złe samopoczucie, z którego nie wyleczy się wcześniej, aż znajdzie się jakaś zdecydowana wola i silna ręka, która położy kres temu i tym podobnym wypadkom ulegalizowanego wyzysku.

Tymczasem zachłanności ludzkiej nie jesteśmy w możności zaspokoić przy pozostawieniu sobie drobnej reszty na najkonieczniejsze potrzeby i dlatego nasze samopoczucie jest złe.

„Siłaczka" mogłaby się z tego nieznośnego stanu psychicznego przygnębienia wyzwolić, lecz ile ich wśród nas jest?!

Owa bezideowość przedwojennego wychowania, nagłość załamania się tradycyjnego sposobu myślenia, wreszcie nieznajomość lub powierzchowna znajomość istoty i głębi dokonujących się przemian bynajmniej nie sprzyjały wyrobieniu w wielu z nas nowego światopoglądu.

Jestem np. głęboko przekonany, że istoty marksizmu nie zgłębił dotychczas nawet co dziesiąty nauczyciel.

Dlatego też wydaje mi się, że porządne studium, socjalizmu naukowego w znacznej mierze przyczyniłoby się do wyrugowania z nauczycielskich umysłów i serc resztek istniejących tam jeszcze oporów i przyśpieszyłoby znacznie ich upozytywnienie i uaktywnienie, a co za tym idzie — włączenie w rytm procesu ideologicznej przebudowy.

Czytając: „IKP" — „Głos nauczycielski" i „Przyjaciółkę", długo jeszcze będziemy na ten moment czekać.

Dlatego my, nauczyciele, domagamy się przeszkalania nas na kilkutygodniowych, dobrze zorganizowanych kursach i zasilania nas dostateczną ilością dobrze dobranej lektury.

Byłby to jeden ze skutecznych środków leczenia złego samopoczucia.

Wierzę, że i inne skuteczne środki się znajdą i że wraz z chorobą ustąpią i jej symptomy: obecne niezadowolenie, nieufność, apatia, bierność, wyczekiwanie i niechęć do czynnego i samorzutnego włączenia się w epokowy proces przebudowy.

O to zaś, czy rolę nauczyciela - demokraty należy wówczas ograniczyć do rozpowszechniania kultury, czy też po staremu zezwolić mu na wszechstronną działalność w środowisku, nie będę już z Szanowną Autorką kruszył kopii.

*) A. Kamieńska — Dyskusja o nauczycielach. „Wieś" Nr 20-21

Redakcja tygodnika „WIEŚ"

przypomina o konkursie

„Ilu zdobyłeś prenumeratorów WSI"?

Dla zdobywców nowych prenumeratorów naszego pisma, obok nagród przewidzianych w ogólnym konkursie prasy Związku Samopomocy Chłopskiej (patrz „WIEŚ" Nr 13—14, z dnia 28 marca — 4 kwietnia b. r.), redakcja przewiduje następujące nagrody:

I. od 10 nowych prenumeratorów — a) bezpłatną nową prenumeratę od 1 stycznia 1949 r.,

II. od 25 nowych prenumeratorów — (a) i b) rocznik „Wsi" lub książkę,

III. powyżej 50 nowych prenumeratorów — (a), (b) i nagrody pieniężne (kilkadziesiąt tysięcy złotych),

Nauczyciele, działacze gospodarczy, młodzieżowi, polityczni, licealiści, studenci, panowie adwokaci, lekarze, „inteligencjo polska"...

PRZEZ „WIEŚ" DO WIEDZY I ZNAJOMOŚCI WSI POLSKIEJ!

Jerzy Piórkowski

MÓJ PRZYJACIEL

I.

BYLIŚMY przyjaciółmi. Nie było to tak dziwne, jakby się na pozór postronnemu obserwatorowi wydawało. On, syn małorolnego chłopa z ciemną jak kawa twarzą, pięknym stażem partyjnym był uważany za jednego z najbardziej obiecujących działaczy chłopskich młodego pokolenia i ja, typowe dziecko inteligenckie, z całym nawarstwieniem nie tylko akowskich kompleksów i krzywd. Nie pamiętam nawet, jak rozpoczęła się nasza znajomość, która potem bujnie wyrosła między nami. Gdy ma się na karku niewiele ponad dwadzieścia lat i ciężki życiowy trening konspiracji za sobą, ludzi najchętniej poznaje się i ocenia instynktem dobrego myśliwego, czułego jak i jego wyżeł przede wszystkim na przyjazny czy wrogi zapach skóry, oddechu czy tylko postaci nieznanego. Nauczyliśmy się w walce sprawy przyjaźni normować prosto i konsekwentnie, bez słów, czynami. Wielu chłopców przychodziło, wielu odchodziło. Ten dryl pozostał we mnie.

Były to parszywe miesiące. Ciężko przychodziło chodzić po ulicach pełnych światła. Trudno śledzić spokojnym wzrokiem po twarzach ludzi wyrywanych spojrzeniem z mijanego tłumu, zapędzonych w ciągły kołowrót dnia, rozkochanych czy ślamazarnie się mizdrzących, nerwowo kroczących w poszukiwaniu nowych kantów czy wreszcie takich, którzy dotąd cenili tylko wilczy pochód, to znaczy, czekającą na ich drodze ofiarę czy zdobycz.

Z ulic ledwie z grubsza uprzątniętych zwieszały się pnącza pogiętych konstrukcji o barwie zaschłej krwi. Szczury migały ciągle przed oczyma łyskając brudnym podbrzuszem.

Szliśmy razem z uczelni wąską ścieżyną wśród rozbitej cegły. Obok jazgotały tysiącami kół Aleje Jerozolimskie, świecił jasną łuną świateł niedawno otwarty dworzec na Towarowej, przeciągle piszczały przychodzące i odchodzące pociągi. Z przykrością opowiadałem historię swoich ostatnich lat. Powtarzałem ją aż do znudzenia dziesiątki razy ludziom, którzy zwykle seplenili pod nosem jakieś wyrazy uznania, a jednocześnie trwożnie mrugali oczkami, gdy spotkali mnie przypadkiem na ulicy. Życie szło naprzód. Za mną jak smuga cienia przeszłości szły nie tylko ciche nadzieje mojej klasy, ale i lęk kołtunerii przed odpowiedzialnością. Był to właśnie gorący moment ujawniania się. Dzięki Radosławowi żołnierze wychodzili ze swoich błędnych dróg z honorem Ulica Marszałkowska traktowała ich jednak jako prowokatorów i zdrajców.

Przyjaciel mój w pewnej chwili przerwał:

— Więc nie żałujesz przeszłości? Czujesz sam, iż zrobiłeś słusznie zrywając z konspiracją? — Powiedział mi po raz pierwszy ty. Zaśmiałem się krótko. Byłem zazwyczaj śmiały i nie kryłem się ze swoim zdaniem, gdy ktoś chciał je poznać.

— Właściwie to wiesz, że moje miejsce jest po tamtej stronie barykady. Myśliwy nie powinien rozstawać się ze swoim nałogiem tym bardziej, gdy był nim zarażony od piętnastu lat. A cóż byś powiedział — dodałem z przekorą — gdybym jutro poszedł do lasu?

— Ano idź — odpowiedział powoli przyjaciel, tylko uważaj, żebyś kogo z nas nie spotkał, ot choćby mnie, często jeżdżę...

— To i co? — spytałem zaczepnie.

— A no wróbelku mały — mówił ciepłym głosem — dostałbyś ode mnie kulę na drogę, nie tylko ode mnie. My takich jak ty lubimy, gdy gapią się, włóczą za dziewczynkami, śpiewają „Warszawo ty moja Warszawo", ale jak wsadzasz palce między drzwi, sam rozumiesz, drzwi przytną — zaśmiał się uradowany.

— Już byli tacy, co próbowali nam i głowy przycinać — odpowiedziałem urągliwie podrażniony. — Pamiętaj, że broń nie lubi strzelać w jednym kierunku, a cele są wszędzie.

— Zgoda — odpowiedział uśmiechając się — ale tak jest wówczas, gdy strzelają sobie pojedyńczy ludzie, gdy strzelałeś ot ty. A tutaj wiesz kto będzie strzelał? Proletariat.

Nie odpowiedziałem.

Kiedyś pojechałem do niego. Przegadaliśmy jedną noc, drugą. Staszek był administratorem majątku byłego fabrykanta. Chodziliśmy, kłócąc się, po opustoszałych pokojach, po wschodzących nieśmiało ziemiopłodach, po drodze pełnej wiosennych chlupotów. Wśród wzajemnych żalów odnajdywaliśmy wspólną drogę. Myślałem często o przeszłości, odnajdując w jego dzisiejszej postawie coraz więcej żołnierskich, klarownych rysów. — Czyż to tylko jeden z żołnierzy olbrzymiego pochodu, który świadomie kroczy razem, czy tylko samotny fanatyk, żyjący tak samo jak ja dotąd, w świecie stworzonym przez wyobraźnię, lubiącą widzieć tylko te barwy do których czuje się sentyment. Może więc obaj spoczywamy na bezludnej wyspie, obcy toczącemu się wartko obok nurtowi życia? Czas pokaże, jemu zostawmy resztę — myślałem po każdej rozmowie.

I czas rychło pokazał.

II.

Życie Staszka było niełatwe. Dwie morgi ojcowskiego podkrakowskiego pola i wyniesiony z domu radykalizm chłopski — oto całe dzieciństwo. Ciężko, zajadle trzeba było torować sobie drogę. Wczesne spotkanie z robotniczym ruchem lewicowym i współpraca z nim — oto najistotniejszy przełom na tym etapie. Na Jagiellońskim Uniwersytecie — ciągłe walki z kołtunerią ONR-owską, z których nieraz wychodził zlany krwią. Manifestacje pierwszomajowe, aktywna pomoc dla strajkujących robotników krakowskich fabryk — to były wykłady grubo cenniejsze nawet od wykładów prawa rzymskiego samego profesora Taubenschlaga. A dekoracje tego życia?

Liche: ciągłe przymieranie głodem, noce spędzane nierzadko na trawnikach w parku królewskiego miasta. Koszulę, z zasady nosił ciemną. Dawała się ona wówczas nosić bez potrzeby prania dwa, trzy, cztery tygodnie. Do wsi wpadał dość często. Miasto nie potrafiło pozbawić go przywiązania i miłości. Rychło stał się duszą prac. Co roztropniejszych

rys. St. Cieloch

spośród młodzieży trzymał twardo w garści, za starszymi już na całego się dogadywał. Pamiętam go dobrze, gdy opowiadał o swojej pracy organizacyjnej na terenie robotniczego Krakowa. Staszek wówczas często kursował między rodzinną wsią, a strajkującymi fabrykami. Razem z kolegami pieszo wracali do Krakowa z bańkami mleka dla dzieci strajkujących robotników. Pewnego razu zdarzyło się, że Staszek w swoją podróż wybrał się w nowych butach. Droga była daleka, perspektywy kupienia nowych — bardzo odległe. Tuż za wsią Staszek zdjął trzewiki i po chłopsku przerzucił je przez drugie ramię, a sam boso pomaszerował ku czerwonemu Krakowowi. Przed miastem po obejściu posterunków policyjnych próbował buty na powrót włożyć. Niestety nogi były tak rozparzone, iż mimo rozpaczliwych wysiłków trzewika nie udało się wciągnąć na stopę. Staszek nie namyślał się długo. Z powrotem zarzucił buty na plecy i dziarskim krokiem pomaszerował na bosaka poprzez asfalt krakowskich ulic ku przedmieściu. Z dwiema srebrzystymi bańkami pełnymi miarowo chlupocącego mleka, w okrągłej studenckiej czapeczce wzbudzał na ulicy powszechną sensację. Rychło też miał za sobą cały orszak chłopaczków, głośno komentujących niecodzienną, jakby żywcem z szesnastego wieku przeniesioną sylwetkę żaczka, chyłkiem przemykającą się ku swoim komyszom.

Rodzinna wioska była pełna słomianych strzech, pełna nędzy ludzkiej i nienawiści do dworu. To był pierwszy, chyba najukochańszy teren działalności Staszka. Chodził ze zorganizowaną przez siebie gromadą chłopów nad Wisłę, która tutaj jest tylko wązką nitką zbełkotanej wody, ujętej w klamrę wysokich brzegów. Tutaj podbiegały dworskie pola pszenicy. Staszek mówił do nich, i do pól i swoich towarzyszy:

— To będziemy dzielić ot, tak — nogi nabierały sprężystości, twarz czerwieniała z podniecenia. Przekreślał szeroko płaty tłustej ziemi aż do migocącej w dali linii widnokręgu.

— To będzie wszystko nasze — powtarzał. — A we dworze—tu wskazywał ręką na biały profil zabudowań pokryty ciemną zielenią lip i kasztanów, — będzie szkoła i świetlica. I znów bez przerwy kreślił szerokim, zamaszystym ruchem po niebie i uciekającym ku niemu dworskim zagonom. Szorstko i namiętnie mówił o nowym świecie i o nowym w nim człowieku. Był pewien swego, prawo młodości mówiło mu zapalczywie, iż wszyscy są z nim razem, iż on i ta chłopska gromada są jednym, jednako działającym ramieniem i jednako czującym sercem. Ot, tym rosnącym jak na drożdżach proletariatem.

III.

— Opowiedzieć ci może o ostatnim spotkaniu z moją rodzinną wsią? — Staszek leżał niedbale rozciągnięty na trawie, ja obok niego. Było gorąco, w gałęziach drzew buszowały słowiki, na przeciw nas, wśród grządek pomidorów błyskały białe łydki pracujących dziewczyn. Próbowaliśmy się uczyć, na próżno! Staszka co chwila odrywano od skryptu. Przybiegał, klnąc co się zmieści, rozczhełstany, spotniały z wysiłku, ale coraz bardziej tryskający energią i siłą. Teraz nikt nie przerywał ciszy, leżeliśmy z oczyma zwróconymi na niebo. Czekałem.

— Właściwie cała historia jest śmieszna i dlatego może tak bardzo boli. Ta wieś przez naszą „łagodną rewolucję" przeszła normalnie, to znaczy dziedzic uciekł do miasta, z miasta przyjechały brygady robotnicze i zaczęły dzielić ziemię. Nie byłem tam wówczas, ale zdawało mi się, iż przeżywam to razem z nimi, rozumiesz? Ja dobrze znałem te pola, sam dzieliłem je w duchu setki razy, sam ustawiałem ławki szkolne w salach dworu, sam sprowadziłem tutaj nauczyciela, maszyny, książki, pisma...

W wyniku przeprowadzonej reformy rolnej, dostali wszyscy bezmała sąsiedzi. Ojciec chyba najmniej. Cieszyłem się nawet z tego. Teraz nie będzie zawiści, myślałem, nie będzie sarkania, że dzięki protekcji, dzięki synkowi... Odwiedziłem ojca tuż przed wyborami. Nie było po prostu wcześniej czasu. Siedziałem po uszy zagrzebany w partyjnej robocie, po tygodniach całych ganiałem po powiecie, wciskałem się do najmniejszej dziury. Wracałem z reguły o dwunastej, pierwszej w nocy. Miałem wówczas szczęście, tylko raz próbowali mnie zamordować, — uśmiechnął się lekko i spojrzał na mnie. Profil jego rysował się ostro, obwiedziony zachodzącym słońcem.

— Wracałem wtedy wyjątkowo późno — ciągnął — około drugiej w nocy. Tuż za skrajem lasu gwizdnął mi nad głową pocisk. Obejrzałem się za siebie i ujrzałem za drzewem człowieka mocującego się z bronią. Widać pistolet po strzale zaciął się. Cóż miałem robić? Staszek strzepnął ziemię ze spodni, przysiadł się do mnie jeszcze bliżej i ciągnął z wyraźną drwiną w oczach:

— Ty wiesz, Jerzy, co ogarnia wówczas człowieka szybko jak pożar: wściekłość. Podbiegłem do niego. Miał oczy szczura miotającego się w klatce. Spoliczkowałem go i wyrwałem broń z ręki, zapiszczał jak prosiak. Znałem go z widzenia: jeden z lokatorów niedaleko leżących willi, długocholewiasty bywalec miejscowych knajp i kawiarni. Cóż miałem z nim robić? — powtórzył. — Byłem tak zmęczony pracą... kazałem mu iść precz.

Zamilkł na chwilę, nie przerywałem ciszy, gryzłem w ustach bezwiednie źdźbło urwanej trawy, czułem goryczkę soku rośliny, ale nie przerywałem swej czynności ani na chwilę. Chciałem coś powiedzieć, choćby bez związku, nie na temat, nie mogłem.

— W tym czasie dostawałem od czasu do czasu listy od ojca ze wsi. Budował się. Znałem starego. Nie dośpi, będzie żył rok obierkami, a swojego dopnie. Między wierszami zawsze wyczytywałem jedną niezmienną prośbę: nie miałem dużo. Było i jest dość mizernie. Ale zawsze coś urwałem i posyłałem staremu. Dziwiło mnie tylko bardzo, iż stary nic nie wspomina o reszcie wsi, o sąsiadach, znajomych; był zawsze pełen wigoru, pełen wiadomości z całej gminy, jak rzadko kto, mając otwarte uszy i dobrze patrzące oczy. Ale nie gniewałem się, zapracowany, usprawiedliwiałem go sam wobec siebie i tylko uśmiechałem się, gdy stary pisał do mnie abym się pilnował i uważał na siebie. Wówczas wzrokiem wędrowałem ku swojej zdobyczy, którą wyrwałem z rąk niedoszłego zabójcy, ślicznemu zrzutowemu Coltowi. Przed wyborami wyrwałem się jednak do niego. Gdy wysiadłem na małej zżółkłej stacyjce przeszłość rzuciła mi się naprzeciw silnym, stale rosnącym nurtem. Poznawałem nad podziw dokładnie poszczególne zagrody, budynki, pola. Ręka wojny nie dotknęła na szczęście tej ziemi. Z dala czerniały drzewa mojej wioski. Mróz maścił policzki, śnieg skrzypiał pod butami. Oto droga do dworu odwijająca się od traktu drobnym, łagodnym półłukiem.

Teraz stał tam na niej starannie ciosany palik, na nim przekrzywiona tablica z wyraźnym napisem: Ośmioklasowa szkoła powszechna, a obok strzałka, na której ktoś widać już później, niezdarnie dopisał: Do świetlicy. Wszędzie widziałem białe krokwie, wszędzie leżały płaty świeżych desek i stosy dachówek. Chłopi budowali się. Wieńce ukończonej budowli, często zeschłe i szeleszczące tylko na wietrze, często o pełnych, zielonych jeszcze liściach czy igłach, widniały niemal na każdej zagrodzie. Wiedziałem już z listów ojca, co było pierwszą przyczyną tej odbudowy: wieś dostała drzewo na spłaty, przybyło ziemi, każdy myślał i planował na wyrost.

— Ojciec przyjął mnie serdecznie, mieszkał jeszcze w starej chałupie, ale już w nowej stolarz kończył wstawiać okna i drzwi. Chodziłem po izbie jak niewidomy, który niespodziewanie po zdjęciu katarakty odzyskuje wzrok. Z każdego kąta podbiegały stare lata. Na każdej ścianie widziałem obrazy odżywające napowrót. Pytałem starego o znajomych, kolegów. Odpowiadał skąpo. Czasem milczał. Nie dostrzegałem tego, uniesiony powodzią wspomnień. Zjadłem na prędce obiad i wyszedłem na wały, nad Wisłą, gdzie zwykle chodzili chłopcy i dziewczęta po skończonej pracy. I teraz było nie inaczej. Byłem wzruszony, gdy ujrzałem te same twarze tylko jakby wyostrzone, uproszczone w rysunku przez przeszłe już za nami lata. Witali się w milczeniu, chłodno. Padały pytania, które musiały padać: co się z tobą działo, jak się czujesz, tyle czasu... Powoli onieśmielony zaczynałem jakby nagle dopiero dostrzegać tych ludzi. Szliśmy jak zawsze wzdłuż wału. Troskliwie obszukiwałem wzrokiem rozwartą przede mną przestrzeń. Ten sam układ pól, znajome grzędy drzew, ten sam mocny zapach ziemi, bijący w nozdrza. W dole szumiała Wisła, ujęta w białe burty śniegu. Spytałem się mimo wszystko pewny swego: a czyje to teraz pola chłopcy? Milczeli. Śnieg skrzypiał miarowo, błądziłem wzrokiem jakby w pogoni za niewidocznymi śladami. Gorąco uderzało mi do głowy. Czyje to teraz pola chłopcy ? — powtórzyłem. Wówczas z tyłu odbruknął głos: Ano twoje... I zaraz rozległ się z lewa, z prawa, z tyłu nieśmiały jeszcze, ale kąśliwy chichot. Nie mogłem wytrzymać, złapałem kurczowo pierwszego z brzegu za rękę.

— Weź rękę, bo po niej dostaniesz, tu jeszcze nie jesteście panami! — zasyczał głos. Spojrzałem wokół, twarze były ostre i nieprzyjazne, spojrzenia nienawistne. Zacisnąłem tylko pięści aż zatrzeszczały stawy. Chciałem im wykrzyczeć wszystko co palił się pod koszulą. Chciałem im pokazać znów taką samą koszulę, której nie zdejmowałem od dwóch miesięcy, jak wówczas, w tamtych parszywych latach. A jednak milczałem. Nie obudziło ich odebranie dziedzicowi ziemi, nie obudziły ich nowe rosnące chałupy, nie obudził ich dwór, w którym uczyły się ich dzieci, czułem się jak skąpiec, któremu rozsypała się sakiewka pełna złota, a ja znów byłem ślepcem i bezradnymi rękoma błądziłem po domach, polach, czy drogach, odgadując tylko zarysy kształtów i nic więcej.

— Czy to prawda? — Nie dawałem za wygraną. — Czyje były te pola? Rozrzuciłem wokół ramiona — a czyje są one teraz? — powtórzyłem — wskazując na nie. Ludzie wycierali głośno nosy, niespokojnie przechodzili z miejsca na miejsce. W końcu jeden z nich podszedł bliżej — słuchaj, nie krzycz, bo u nas ziemia milczy... — przymrużył oczy w szparki, przyciskając palec do spękanych od mrozu warg. Ziemia — święta rzecz, a ty — odszedł jeden — machnął ręką w kierunku dworu — przyszliście wy, odejdziecie i wy, a my chłopi — zostaniemy przy ziemi...

Rzuciłem się, jakby mnie ktoś z tyłu pchnął nożem. — Jesteście w PSL-u, no, gadajcie, przyznajcie się? — dopadłem do nich — milczeli.

— Cóż mogłem im jeszcze powiedzieć? Oto był spadek Londynu w kraju, najbardziej bolesny i najgroźniejszy, to był słomiany Mikołajczyk wsi polskiej, jak chochoł straszący w mojej wiosce. Znów, jak w całym kraju dwie ścierające się siły. Cóż mogliśmy przeciwstawić w okresie okupacji londyńskim dolarom i zrzutowej broni, normalnej, doskonale zorganizowanej sieci organizacyjnej, gdy wszyscy z nas walczyli w kieleckich czy lubelskich lasach. Były to przecież dzieci, pozostawione w pokoju, w którym ciągle wiały przeciągi. Musieli się przeziębić, uspokajałem sam siebie. Zawróciłem do domu. Ojciec spojrzał na mnie niespokojnie. Bez słowa zjedliśmy obiad. Powaliłem się na łóżko i milczałem, bezmyślnie wpatrzony w sufit.

Wieczorem ojciec coraz niecierpliwiej dreptał po izbie. Siedziałem wówczas na przyzbie, ciosając palik do nowego płotu, gdy stary podszedł do mnie, spojrzał badawczo: Rozmawiałeś z ludźmi ze wsi?—Rozmawiałem —odburknąłem.—Słuchaj,— objął mnie ramieniem,—bałem się o ciebie, nie pisałem o tym, bo lepiej byś teraz nie przyjeżdżał... — schowaj ten pistolet, oni strzelają zza węgła w łeb, nie wyciągniesz nawet tego cacuszka — Tobie się odgrażają nie od dzisiaj, słuchaj — zaczerpnął oddechu, widziałem, iż mocował się z samym sobą.—Ty tutaj spać nie będziesz. Podszedł do stołu, zebrał porozkładane na łóżku kożuchy.

— Idź spać do stogu, tak trzeba. Nie chcę swojej krwi w tym domu, nowym domu — powiedział chrypliwie.

Wyszedłem z izby z kożuchami pod pachą, zataczając się jak pijany. Gwiazdy kucały po niebie, od czasu do czasu przebłyskując jaśniejszym światłem. Żółto przebłyskiwały przez gałęzie drzew okna dalekiego dworu.

Teraz jest pewnie świetlica, pomyślałem. Możeby pójść?

Ale już po chwili zwaliłem się pod stóg.

Ojczyzna — pomyślałem dławiąc się łzami. Słyszałem jak ojciec starannie zapierał drzwi nowego domu. Szczękał zamek. Potem zawołał do mnie cicho: Śpisz?

— Nie ojciec, nigdy, nigdy nie śpię — krzyknąłem ile sił.

— Już nie wychodź, bo spuszczę z łańcucha psa — głos oddalał się razem z sylwetką.

I tak byliśmy niby razem, a samotni; ja i ślepia uśmiechających się przekornie gwiazd. Ten sam dom, rysujący się na tle nieba fioletowym konturem i psy ciągnące gdzieś tam wilczym pochodem, wietrzącym ciągle gorące serca i gorącą krew...

Zakończenie może nieco liryczne, ale tym niemniej prawdziwe. W stogu siana czułem się jak człowiek na drzewie obleganym przez stado wilków. Nie ważna była moja śmierć. Nie oszczędzałem innych ludzi, nie oszczędzam i siebie, ale ta samotność wśród przyjaciół sprzed lat...

— Nie byłeś wtedy samotny — przerwałem mu ostro — nie byłeś! — dodałem z uniesieniem. Mój przyjaciel uśmiechnął się. — Wiem o tym, — mruknął niby do siebie — i dlatego poszedłem wtedy spać do stogu.

Nie śmiej się, samotność — śliczna rzecz, ale nie w tym świecie, co to rodzi się w krwi i cierpieniu Tutaj trzeba ludzi, którzy potrafią zorganizować salwy ze swej broni, tutaj trzeba — proletariatu... A ty wiesz dobrze co to znaczy w walce dobrze prowadzony ogień? — Przytaknąłem głową.

— No to chodź do nas — powiedział zaczepnie, patrząc mi prosto w oczy.

Przyszedłem.

Leonard Sobierajski

PORTRETY LITERACKIE

Mam przed sobą sześć zeszytów „Wiedzy Powszechnej" z cyklu — **Portrety literackie.** *) Omówieni pisarze to: Aleksander Fredro, Zygmunt Krasiński, Henryk Sienkiewicz, Eliza Orzeszkowa, Bolesław Prus i Jan Kasprowicz. Jesteśmy więc w obrębie XIX i pierwszych lat XX wieku. Pełny cykl poprowadzi nas przez wiek XVI, XVII, XVIII i XIX, zaczyna się Janem Kochanowiskim, a kończy Władysławem Orkanem, ogółem będzie zawierał dwadzieścia cztery pozycje.

Narazie czytelnik otrzymał kilka sylwetek z trzech różnych okresów naszego literackiego dziewiętnastowiecza.

Przystępuję do lektury zeszytów z nastawieniem właśnie czytelnika, tj. człowieka, który pragnie zdobyć potrzebne mu minimum wiedzy o literaturze dla większej orientacji w świecie zjawisk kultury. Czytelnik taki wierzy święcie, że „fachowcy" od tej gałęzi wiedzy podadzą mu sądy jednoznaczne, i sprawdzone, wyjaśniające pisarzy przez odniesienie ich twórczości do ogólnych procesów przemian kulturalnych, czytelnik taki, powtarzam, pragnie wiedzy, która nawet w

Bywa w badaniach literackich tak...

tych szczupłych dawkach jakoś by mu się całkowała, wykreślała choćby z grubsza mapę literacką i plasowała na niej twórców w historycznie określonej strukturze społeczno-kulturowej. Takie są ciche żądania każdego samouka, pragnie on przy pomocy zespołu elementów otrzymać uporządkowaną, syntetyzującą się całość. Czy wymienione zeszyty spełniają ten podstawowy warunek każdej dobrej popularyzacji?

Czytam i szukam metody. Rozpoczynam od szkicu o Fredrze. Autor Tadeusz Czapczyński biedzi się nad takim problemem: zły los narodu, ciężko układające się życie osobiste Fredry, a jednak pisze on komedie. Analiza ta potrzebna była autorowi szkicu do „rewelacyjnego" stwierdzenia, że mimo tych wszystkich przeciwności „zwyciężyła wrodzona odporność, wzmocniona patriotycznym uczuciem. Zwyciężył ukryty w głębi duszy talent poetycki". Fredro oczywiście ten talent odda w służbę narodu. Tadeusz Czapczyński pisze: „W wyborze zaś formy komediowej moglibyśmy dopatrzeć się.... przeciwstawienia rodzącej się pod wpływem wypadków depresji i konieczności podniesienia na duchu społeczeństwa w kraju, pozostawionego sobie samemu, a pozbawionego wielkich, przebywających na emigracji duchowych przywódców. W doborze tej właśnie formy realnej, jako jedynie możliwej na terenie zaborów, okazał się również realnym pisarzem i wychowawcą narodu, jak Mickiewicz, jako twórca **Ksiąg Pielgrzymstwa czy Pana Tadeusza**".

Te krótkie cytaty orientują nas w metodzie autora szkicu. Wzory metody — hr. St. Tarnowski: „Al. Fredro". W rozprawach i sprawozdaniach, t. II, w r. 1896. Ign. Chrzanowski, „O komediach A. Fredry", Kraków, nakł. Akad. Um. 1917.

Przejdźmy do szkicu o Krasińskim. Autor, Andrzej Boleski, stara się wprawdzie o socjologiczną interpretację „Nieboskiej komedii" czy „Psalmów", co rusz jednak się ześlizguje na wyjeżdżony tor tradycyjnego ujmowania twórcy „Nieboskiej". Powtarzają się znów tu za Tarnowskim, Kleinerem, Pinim te same chwyty. Krasiński i ojciec, Krasiński i powstanie, Krasiński i kobiety. Boleskiemu również ciężko wyjść z cienia badaczy literatury sprzed dobrych kilkudziesięciu lat. Swój szkic kończy on zdaniem, w którym przyznaje Krasińskiemu, „gdy przyjmie się jego cierpienie za ekspiację", miejsce obok Mickiewicza i Słowackiego, „w sferze najwyższych dążeń moralnych, skupionych w ognisku szczytnej prawdy: iż „celem światów — szlachetnienie".

Lepiej sprawa przedstawia się ze szkicami o Prusie — Janiny Kulczyckiej-Saloni, o Sienkiewiczu — J. Z. Jakubowskiego i Orzeszkowej — Zofii Klarner. Jednak i tutaj nie otrzymaliśmy jakiegoś bliższego wyjaśnienia uwarunkowania społecznego, takich dzieł jak: „Nad Niemnem" czy „Lalki". Twórczość wielkich klasyków naszej powieści nie została pokazana jako element procesu przemian społeczno-kulturowych.

Szkic Eugeniusza Sawrymowicza o Janie Kasprowiczu znów nas wprowadza w żargon krytyczny, jaki wytworzyła grupa krytyków, wyrosłych na tradycjach literackich Młodej Polski. Wzorami dla autora szkicu będzie A. Górski, A. Lange, Zygmunt Wasilewski, Stefan Kołaczkowski, Sawrynowicz dzieła Kasprowicza wyjaśnia jako ilustrację psychiki twórcy. Posłuchajmy takiego passusu: „W swej gwałtownej, bujnej naturze przerzucał się do krańcowych sprzeczności i dlatego poezja jego ma w sobie porywającą, ale i przytłaczającą potęgę. U Kasprowicza, jeśli burza — to taka, że wśród błysków i piorunów, świat wali się w gruzy! Jeśli cisza — to taka, że słychać jak modlitwa ulata ku Bogu! Jeśli miłość — to taka, co ogarnia....".

Czytelnika pierwszych szkiców literackich (Biblioteczki „Czytelnika") ogarnia poważne zaniepokojenie. Jego głód uporządkowanej wiedzy o literaturze, nie znajduje tu zaspokojenia. W całej akcji nie widać próby jakiegoś jednolitego ujęcia. Jest tu cały las metod. Przypuszczam, że niedostatecznie sprecyzowane zamówienie na odnośne prace powoduje tę daleko idącą dowolność. A sprawa jest bardzo ważna, bo wyobraźmy sobie kilkadziesiąt szkiców o naszej literaturze, załatwionych metodą sprzed pół wieku — jaki zamęt w głowie ucznia gimnazjalnego, nie mówiąc już o samouku, toż to i nauczycielowi tu bezradnie opadają ręce, gdy biedząc się nad wyjaśnieniem uczniom związków między twórczością Orzeszkowej a sytuacją degradującej się ekonomicznie i społecznie szlachty, sięga się po szkic o Orzeszkowej i natrafia tam, na takie zdania: „Dlatego dziś, w czasie odradzania się zmiażdżonych przez najstraszniejszą z wojen podstaw kutury, możemy swobodnie **odetchnąć w szlachetnym klimacie jej książek** (podkreślenie moje). Zawierają one prawdy proste, lecz tak bezmiernej wagi, że od **ich realizacji** (podkreślenie autorki), zależy przyszłość świata". Entuzjazm jest rzeczą szlachetną, lecz chyba bardziej wychowawcze byłoby zachowanie proporcji w ocenie naszych zjawisk literackich, gdyż wtedy tylko możemy kusić się o jakąś obiektywną ich wymierność.

Uważamy, że sprawę cyklu: portrety literackie „Wiedzy Powszechnej" należy poddać jak najszybszej rewizji. Rewizji tej powinno dokonać Wydawnictwo. Byłoby przecież absurdem popularyzowanie wiedzy o literaturze, posługującej się metodą absolutnie dziś nieprzydatną i szkodliwą w wyjaśnianiu zjawisk literackich. Najnowsze badania starają się pokazać dzieło literackie w ogólnym kontekście społeczno - kulturowym. Tego rodzaju popularny komentarz bardziej by zachęcił do poznawania literatury niż kaznodziejskie chwyty, głoszące wielkość świętych pańskich literatury.

*) „Czytelnik" — Biblioteka „Wiedzy powszechnej" — cykl „Portrety literackie" — wyd. 1947-8 r.

Eugenia Mądrowa

POEZJA i POLITYKA

W numerze 18(61) „Dziennika Literackiego" Józef Bieniek rozprawia się z poezją współczesną, zwłaszcza tą, która wkracza tematycznie we współczesność. Dla niego podejmowanie tak „niepoetyckich" spraw jak elektryfikacja, to obdzieranie poezji z szat piękna, uśmiercanie samej poezji.

Wydaje się, jakby dla Bieńka szczytem poetyckości była pieśń o Laurze i Filonie, czy wierszowane powiastki Lenartowicza, Pola i innych. Ale czy wymienieni poeci stanowią istotnie najwyższą klasę w naszej poezji, mimo, że jest u nich i „piękny język literacki i styl przystępny, pełen prostoty i wdzięku?".

Bieniek powołuje się na przystępność i zrozumiałość Mickiewicza. Na dowód przytacza ocenę znajomego „oczytanego chłopa", który 30 (czy nie za wiele?) razy czytał „Pana Tadeusza", a Przybosia, przeczytawszy 10 razy od końca do początku i drugie 10 razy od początku do końca — niczego się tam nie doszukał. Fakt, istotnie zastanawiający. Bo normalnie czytelnik nie rozumiejąc tekstu odrzuca go, jako niezrozumiały. Fenomen Bieńka natomiast zaczyna czytać od końca i dopiero po dziecięciokrotnym przestudiowaniu „rakiem" decyduje się na odrzucenie książki, jako niezrozumiałej. Takim mechanizmem chwytów polemicznych posługują się blagierzy. Do czego prowadzi Bieniek? Stwierdza na wsi poczytność „Trylogii" i „Krzyżaków". A jakoś uszła jego uwagi równoległa poczytność najgorszego rodzaju tandetnej bzdury. Bo nie Sienkiewicz, Żeromski, czy zwłaszcza Dunarowski są najpopularniejszymi autorami na wsi, ale Mniszkówna i Zarzycka, May i Staśko i inne brukowe już czysto wydawnictwa typu „Co tydzień powieść".

Bieniek dziwi się, że chłopi czytają „Pana Tadeusza", a nie czytają Przybosia. Czyż wobec pogoni chłopskiego czytelnika za żywą akcją i bogatą fabułą, można wysnuwać wniosek, że chłop prawdziwie wielką poezję (Mickiewicza) rozumie bez trudu, nie rozumie natomiast tylko „esów-floresów powojennej sztuki wierszowania?".

Przecież czytelnik chłopski w „Panu Tadeuszu" odcyfruje tylko akcję, bieg zdarzeń, fabułę, ale czy rzeczywiście w pełni stanie się dla niego „Pan Tadeusz" jasny i zrozumiały?

Moje osobiste doświadczenia każą mi raczej powiedzieć — nie. Jeśli jednak Mickiewicz miał być dowodem, że poezję istotnie wielką chłop rozumie, to należałoby nie „Pana Tadeusza" wziąć na świadectwo, ale jego drobniejsze utwory, zwłaszcza „Sonety Krymskie". Wszak wyszły one spod pióra tego samego autora. Tymczasem tych ostatnich darremnie szukałbyś pod „strzechą". Nawet po bibliotekach gimnazjalnych leżą nietknięte, o ile nie stanowią koniecznej lektury uzupełniającej ucznia. Jeśli więc „czytelny" Mickiewicz poza kilkudziesięcioma wydaniami „Pana Tadeusza" jest tak mało rozchwytywany, czy należy się dziwić, że poezja naszych współczesnych jest tak słabo czytana?

Bo jedno z dwojga, albo gość przesadza z tym rozumieniem Mickiewicza, albo też Przybosia nie silił się jeszcze poznać. Sądy natomiast o poezji współczesnej czerpie od ignorantów i nieuków.

Bieniek staje się jeszcze bardziej tradycjonalnie — mętny, gdy przeprowadza linię podziału we współczesnej poezji polskiej na poetów „całkiem niezrozumiałych" jak Przyboś, Kamieńska, Bratny — i takich, których „chłopska umysłowość zdoła jeszcze strawić". I tu wylicza: Staff, Marzec, Bąk, Baczyński, Piętak, Frasik, Kubisz, Kubiniec.

Teraz zgadnij zgadula dlaczego metafizyczny, wielosłowny Bąk, ma być dla chłopa bardziej zrozumiały, niż naprzykład Kamieńska. Dlaczego „Monologi Anielskie" mają być chłopu ideowo i tematycznie bliższe, niż „Moje pole" Olchy, albo „Wieśniaczka" Kamieńskiej.

Poezję współczesną, lekceważącą uświęcone wiekami i tradycją kanony poetyckie: rym i

Bywa w krytyce literackiej i tak...

rytm stać często na niesłychanie proste i odkrywcze, dlatego trafne użycie metafory, wypowiadającej w jednym zdaniu tak bogaty ładunek myśli, czy poetyckiego obrazu, że dla wypowiedzenia go Pol lub Lenartowicz potrzebowaliby kilku zwrotek.

Wątpić też należy, by nawrót do formalnych kanonów poetyckich zeszłych stuleci przyczynił poezji miłośników, czy też uczynił ją zrozumialszą. Podobnie od strony treści — poematy filozoficzne Asnyka czy „Król Duch" Słowackiego mają tak samo mało czytelników co i utwory współczesne. Miłośnika poezji, tak na wsi jak i w mieście, trzeba dopiero wychować.

Prawdą jest, że czytelnik o małej kulturze szuka jedynie w książce rozrywki, oderwania od rzeczywistości. Wątpię jednak, by można to na dalszą metę tolerować. Można to jeszcze ścierpieć jako etap w planowej, konsekwentnej akcji podnoszenia kultury czytelniczej wsi, ale nie można z tego robić celu ostatecznego, jak to wynika z artykułu Bieńka.

Dziwić może jedynie tupet z jakim Bieniek utożsamia własne w tej sprawie stanowisko z istotnym zamówieniem społecznym wsi, zamówieniem liczącym się nie z niewybrednymi gustami intelektualnie narazie mało wyrobionej warstwy chłopskiej, ale opierającym się na dążeniu do stałego i konsekwentnego zacierania nizin kulturalnych.

Apolityczność „zamówienia społecznego" wsi, w zakresie czytelnictwa, sformułowana przez Bieńka we wspomnianym artykule, ma tę samą, i to dosyć wyraźną wymowę polityczną co i domagania się apolityczności szkoły i nauczyciela.

Zarówno w jednym, jak i drugim wypadku, apolityczność jest mitem, obliczonym na łatwowierność naiwnych.

„Ale tematem jej (twórczości — przypisek mój) musi być rzetelna wizja nowej wsi i nowego chłopa, oraz perspektywy jasnego jutra i drogi ku niemu wiodące. Wsi trzeba dzieł płomiennych jak słońce samo, zdolnych rozpalać i kultywować twórcze tęsknoty ku wyrostowi, ku wielkości, pięknu i prawdzie. Słowem takich dzieł, które by pomogły w procesie przemian budować najwyższe wartości kulturalne, społeczne i gospodarcze".

Jak tu pogodzić „rzetelną wizję nowej wsi i nowego chłopa" i „proces przemian" z zacofanym poglądem estetycznym, a zwłaszcza z poglądem przeciwnika poezji te przemiany opiewającej?

Coś się nie zgadza. Albo autor usiłuje nas zwieść frazeologią, albo też rzeczywistości dzisiejszej nie rozumie.

Jestem skłonna przypuszczać to drugie.

Przemawia za tym dopiero co cytowany fragment wypowiedzi Bieńka: „jasne jutro", „dzieła płomienne jak słońce", „tęsknoty ku wyrostowi i wielkości", — to nie tylko styl to system myślenia irracjonalny, impresjonistyczny, oddający wrażenia psychiczne, ale niezdolny do poznawania, pozbawiony narzędzi intelektualnych.

W tym systemie wyrażać można **odczuwanie** przeszłości i przyszłości — nic więcej. I dlatego odczuwanie tradycyjnych form artystycznych jest u Bieńka pozytywne, bo te formy wychowały jego wrażliwość estetyczną.

Jerzy Falenciak

MAŁA EGZOTYKA

„Wisła" H. Boguszewskiej i J. Kornackiego ukazała się po raz pierwszy na kilka lat przed wojną. Obecnie została wznowiona *).

Ówczesna krytyka literacka uznała tę powieść za najważniejszą pozycję twórczości Boguszewskiej i Kornackiego, piszących w spółce autorskiej. Szukano oczywiście analogii, wskazywano utwory wydawane dawniej i gdzieindziej na tematy, jak to się mówi, wodniackie, wnioskując ostatecznie, że jest to pierwsza najbardziej udana epopea naszej, też jak to się mówi, królowej rzek.

Znawcy literatury piszący wg. tradycyjnej recepty widzieli w „Wiśle" odkrycie rodzimego egzotyzmu, „Murzyna z załogi Narcyza", albo „Wilka morskiego" w szkiance wody. Za tym przyszedł film pod zmienionym nieco tytułem „Ludzie Wisły" realizacji Forda i Zarzyckiego, przyrównywany do pamiętnego filmu amerykańskiego „All Men Rivers" czy jak tam on się zwał.

Krytycy publikujący w prasie lewicowej odkrywali w „Wiśle" realizm społeczny, (nie gospodarczy), dostrzegając w jej bohaterach przedstawicieli zawodów robotniczych. Mimo wszystko stanowiło to uproszczenie i uogólnienie usprawiedliwione wówczas zbyt słabą podbudową naukową poglądów społeczno-gospodarczych ogółu inteligencji lewicowej.

Ponieważ krytyka literacka, jaka by nie była, wpływa na powszechną ocenę dzieła w sposób okresowy, trzeba więc dziś spojrzeć raz jeszcze na ludzi i wydarzenia „Wisły". A ludzie ci, przedstawiciele najcięższej pracy fizycznej i zarazem mali spekulanci (może nie spekulanci, a kalkulatorzy), nie są robotnikami. Większość z nich to właściciele rzecznych barek, batów i galarów, nieraz gratów bez żadnej wartości, jako obiekty do inwestowania ciułanych kapitalików, ale zawsze środki, „zespoły środków technicznych i osobowych" przeznaczone do uprawiania żeglugi zarobkowej po rzece Wiśle.

Nie są ci wiślani armatorzy drobnym mieszczaństwem z tego samego koryta, co sklepikarze, rzemieślnicy i faktorzy, bo nie mieszkają w mieście, czy gdzie indziej, co to miasto przypomina. Czy zresztą można w ogóle mówić, że się mieszka, przebywając całe życie na statku?

Ale ekonomicznie należą do szeregu, mieszanego środowiska (sklepikarze, rzemieślnicy, gospodarze), ludzi ciężko pracujących na swoim „warsztacie" (produkcyjnym, czy usługowym) dla dorobku, z ciągłą nadzieją dopięcia „czegoś, co określa się tam przeważnie pełnym abstrakcji terminem majątek". I tak samo jak inni z tego szeregu, byli wodniacy podzieleni według rang finansowych możliwości, w następstwie bytowania na marginesie wielko-kapitalistycznej produkcji.

Wszystko to skłania do zaliczenia wodniaków, podobnie jak zresztą i chłopów, do kategorii drobnomieszczaństwa. Tylko tak się jakoś składało, że do niedawna mówiono o chłopie, nie inaczej jak „historycznie" i w ten sposób izolowano go od innych, nawet bardzo podobnych do niego grup społecznych. Obecnie zaś, procesy uspołecznienia i uspółdzielnienia wsi, skierowały przyszłość chłopską, społeczną i gospodarczą, na inne niż dotychczas tory, z czego na razie sami chłopi nie zawsze zdają sobie dokładnie sprawę.

Część głównych aktorów „Wisły", która przetrwała wojnę niewątpliwie uważa się teraz za prywatną inicjatywę w stopniu nie mniejszym niż np. właściciele sklepów jubilerskich, albo magazynów z luksusową bielizną w Warszawie, Krakowie, Płocku oraz innych miastach „portowych" wzdłuż Wisły. Poczucie to wynika po prostu, nie z jakiejś solidarności kupieckiej, lecz gruntuje się na fakcie, iż „wielka" żegluga wiślana, różne „Vistule" i „Fajanse", zostały upaństwowione. Zaczem przeświadczenie właściciela rzecznej lichtugi, zrobionej z „łyżwy" po rozebranym moście, że kiedyś dojdzie do posiadania dużego statku jednego, a później kilku, nie może być już nawet marzeniem. I to przypomina chłopa, który rozpaczałby, że na skutek upełnorolnienia jego nędznej działki przez reformę rolną do, powiedzmy, 6 ha, nie będzie już mógł pieścić w sercu nadziei, iż mógłby się dorobić, aż włók. Tragedia takich wodniaków i takich chłopów, opiera się na urojeniu, właściwym pewnym środowiskom wciągniętym na skutek przejściowych koniunktur w końcowe procesy rozwojowe kapitalizmu.

Do czasu wojny „Wisła" Boguszewskiej i Kornackiego uchodziła za utwór o charakterze realistycznym, takim samym, jak np. „Grypa szaleje w naprawie" Jalu Kurka. Dzisiaj jednak, kiedy droga do rzecznych, wodniackich zawodów prowadzi przez szkołę specjalistów, a nie przez dziedziczne terminowanie, jest już tylko pomnikiem wiślanego egzotyzmu.

*) Warszawa, 1948 r., Gebethner i Wolf.

F A K T Y i Z D A N I A

Dymna zasłona i zaufanie

Jeszcze nie zatarło się przykre wrażenie jakie wywołało zachowanie się episkopatu polskiego wobec listu papieża do biskupów niemieckich, gdy oto kler nasz dostarczył nowego dowodu jak dalece przejęty jest troskami nurtującymi społeczeństwo, w którym żyje i z którego żyje.

Jeśli mieliśmy wątpliwości co do obywatelskiej postawy naszego wyższego duchowieństwa, z kardynałami Hlondem i Sapiehą na czele — to obecnie zostały one całkowicie rozproszone.

Sens milczenia po liście papieskim do biskupów niemieckich, liście godzącym w nasze narodowe interesy — jest zupełnie jednoznaczny. Jednoznaczność tę podkreśla dymna zasłona ostatniego listu pasterskiego.

Jeśli nasz kler zdobywa się na akcję przeciw własnemu społeczeństwu, społeczeństwu dźwigającemu się z ruin, a nie znajduje słów, które by wyraziły zastrzeżenia wobec papieskiej polityki rozgrzeszania z win notorycznego zbrodniarza — to nie jest to wyłącznie sprawa każdego katolika oddzielnie.

Problem stoi w skali międzynarodowej — i nas, którzy chcemy żyć i pracować dochodzi to w pierwszym rzędzie.

Mogliśmy dopuścić czystość intencji u najwyższych dostojników kościelnych, gdyby chodziło o teoretyczny problem zbiorowej odpowiedzialności narodu niemieckiego za popełnione zbrodnie, bo wiadomo, że kościół uznaje tylko odpowiedzialność indywidualną, ale list papieża wziął wyraźnie pod opiekuńcze skrzydła systemu katolickiego cały naród niemiecki, nie robiąc żadnych różnic między jego członkami. To jest problem praktyczny, problem zaufania do wartości wychowawczej systemu katolickiego. Jakże możemy na przyszłość ufać temu systemowi, jeśli pod jego skrzydłami wyrosły gadziny faszyzmu i hitleryzmu, jeśli system ten nie wyeliminował nikogo, nie zagroził ekskomuniką nikomu, kto przywdziawszy czarną koszulę esesmana mordował naszych bliskich, kto żagwią wojny podpalił cały świat.

Interes narodu zagrożonego przez mordercę, któremu ryczałtem i na wyrost wybaczają wszystko, ostrzega nas, że czarna międzynarodówka objęła patronat nad brunatną. Wyciągnijmy z tego konsekwencje.

P. M.

Kiedy się słucha Marshall'a

Francja przed wojną była krajem znacznie zamożniejszym niż Polska. Z wojny Francja wyszła mniej zniszczona niż Polska. Ale Francja była również jednym z pierwszych krajów, który zatwierdził i przyłączył się do t. zw. planu Marshalla. Jakież są efekty?

Przed niedawnym czasem sekretarz związku zawodowego pracowników kolejowych Tournement oświadczył, że obniżenie subwencji na roboty drogowe — spowoduje bezrobocie 40 tysięcy robotników francuskiego towarzystwa kolejowego. Czy sprawa ta łączy się z planem Marshalla? Przed wojną Francja produkowała 15 — 20 tysięcy wagonów rocznie — po wojnie wyprodukowała summa summarum — 27.800. Ale w tym samym czasie wysłano ze Stanów Zjednoczonych do Francji 48.750 wagonów produkcji amerykańskiej.

Nie bez przyczyny prasa francuska pisze bezustannie o agresji kapitału amerykańskiego we Francji. Przed niedawnym czasem redaktor jednego z największych pism francuskich, w czasie pobytu w Polsce, oświadczył, że we Francji nie można obejrzeć francuskiego filmu.

I cóż dalej? Francja obniża subwencje drogowe, produkcję filmową itd. itd., a premier Schumann mówi, że plan Marshalla uratuje Francję od kryzysu gospodarczego.

Na Francję nasza inteligencja patrzyła jako na centrum „europejskości". W Paryżu dla niej trwała wieczna wystawa nowości kulturalnych, od filozofii do wzorów mody. Jeżeli tak było i to nawet długo, to przecież w najściślejszym związku z podstawą gospodarczą tego wykwitu kulturowego. Trujące coraz bardziej kwiaty sztuki i myśli francuskiego mieszczaństwa rodziły się na równolegle dewastowanej podstawie gospodarczo - społecznej. Jeżeli dziś ze smutkiem ukazujemy skutki wpływu USA na sytuację społeczno - ekonomiczną Francji, chcemy przez to zwrócić uwagę i na konieczność nowego rozumienia kulturalnej „europejskości". W państwach demokracji ludowych, gdzie są wielkie, historyczne zapóźnienia, tętni dziś i rozwija się nowe życie gospodarcze, w nowych stosunkach społecznych i tu trzeba uważniej obserwować pierwiosnki dalszego etapu „europejskości" kulturalnej.

K. S.

Polska i Czechosłowacja

Stosunki polsko - czechosłowackie stają się coraz bliższe. Po oficjalnych wizytach dyplomatów, odwiedzali się wzajemnie sportowcy i literaci, a ostatnio kilkuset chłopów — samopomocowców oglądało w ciągu maja b.r. Słowiańską Wystawę Rolniczą w Pradze oraz gospodarkę rolną Czechów i Słowaków.

Skutki rozmów dyplomatów i misji ekonomicznych obu krajów są powszechnie znane. Mamy sojusz polityczny, ożywioną wymianę gospodarczą z Republiką Czechosłowacką. W najbliższych miesiącach przyjadą do Szczecina brygady studentów z Uniwersytetu Masaryka do pracy nad uruchomieniem, przyznanej bratniemu narodowi, części portu. Dzielimy się morzem.

Ożywiła się także wymiana kulturalna. W Pradze, Brnie, czy Hodoninie można kupić czeskie przekłady współczesnej literatury polskiej, słuchać naszej muzyki...

To wszystko mamy i chodzi nam tym razem o należyte wykorzystanie pobytu polskich chłopów w Czechach, na Słowaczyźnie i Morawach. No, bo sprawa jest bardzo ważna.

Przodownicy wsi samopomocowych, inżynierowie rolni z Oświaty Rolniczej, przedstawiciele społecznej i fachowej pracy chłopskiej mieli możność przyjrzeć się stosunkom w produkcji rolnej Czech i Słowacji. Ustalić stopień specjalizacji gospodarstw, wydajność z ha dla poszczególnych upraw, poznać spółdzielczość chłopską, naszego południowego sąsiada, zbadać strukturę i funkcjonowanie Oświaty Rolniczej, zapoznać się z przemianami w życiu społeczno - kulturalnym i politycznym wsi czeskiej....

Wycieczka chłopów polskich, zupełnie przecież inna niż snobistyczne wyprawy „turystów" — estetów po zagraniczne naklejki na walizkach — powinna zaznaczyć się na naszych wsiach. Bogaty materiał doświadczeniowy musi być przekazany możliwie wielkiej ilości chłopów polskich.

Przypuszczamy, że Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej i Wydział Oświaty Rolniczej w Min. Rolnictwa przewidziały już wcześniej odpowiednie odczyty w świetlicach terenowych, a redakcji tyg. „Wieś" ułatwią przeprowadzenie ankiety wśród uczestników wycieczek do Czechosłowacji na temat ich wrażeń i obserwacji. **W. J.**

Telefon i jałmużna

Krew zalewa pewne „koła", gdy muszą przyjmować do wiadomości takie fakty jak „najazd" na wieś szkół, książek, prądu elektrycznego, silników, motorów, maszyn, twardej nawierzchni dróg, domów z łazienkami itp. Jasne, że szlag może trafić, gdy wymyka się z rąk utarty wiekami kulturowy porządek, w dodatku, jeśli na jego cmentarzysku przychodzi również złożyć głowę autorytetom wszechwładnie rządzącym tym porządkiem. Epigonom tym zatruje tego schyłkowe dni ich życia wiadomość, jaka napłynęła ostatnimi czasy z gminy Bąków, pow. łowickiego. Oto chłopi tamtejsi założyli sołtysowi w każdej wsi telefon. (Tam do diabła! A co jutro?!).

Co będzie w gminie Bąków jutro — tego nie wiem. Wiem natomiast, co jest dziś. Wyliczam: oddawna żywe życie organizacji gospodarczych i społecznych, gimnazjum i liceum ogólnokształcące, roczna żeńska szkoła rolnicza, gimnazjum rolnicze, ani jednego dziecka poza szkołą, świetnie rozwijające się życie spółdzielcze, szereg instytucji charakteru społ.-gospodarczego i dorobek powojennych już dni, wyrażający się bardzo irytującymi „starowierów" (jak mówią łowiccy chłopi) — nazwami — elektryfikacja, radiofonizacja, mechanizacja (lub jeszcze gorzej — industrializacja!), a teraz... telefonizacja.

Taki jest fakt. Skąd się znalazł? Przypadek? Czyjaś łaska? Cud? To ostatnie jest niewątpliwe, jeśli zestawimy telefon np. z analfabetyzmem, kurną izbą, kołtunem. Ale w instalacji tego „cudu" nie pomógł ani przypadek, ani też cudza łaska. Chłopi łowiccy, smakując dobra kultury, coraz bardziej buntują się przeciwko wyznaczanej im przez pewną ideologię roli pariasów kultury. Sięgają po nieosiągalne dotychczas rzeczy, zdobywają coraz to nowe pozycje. Wyrównują historyczny bieg. To sięganie, to likwidowanie różnic jest rezultatem ich inicjatywy.

Czy inicjatywa ta jest ważna?

W dyskusjach na temat współzawodnictwa na wsi wśród „pewnych ludzi" zjawił się bardzo interesujący chwyt. Oto twierdzili oni, że wieś jest w nastroju zupełnej bezradności, że bezwolnie czeka na kredyty i subsydia ze strony państwa, że nic poza tym jej nie interesuje, że nie przejawia żadnej żywotności.

Zatem, — jeśli chciecie mieć na wsi postęp — dajcie pieniędzy, dajcie maszyny, dajcie konie, krowy i instruktorów...

Rozumiemy tych panów. Rozumiemy bardzo dobrze. Oto należy wieś osądzić jako bezwolną, tępą, bez żadnej inicjatywy, bez śmiałości na drodze postępu, wieś, którą trzeba ciągnąć gwałtem i karmić jałmużnictwami datkami w formie subwencji i dotacji, wieś irytującą i zupełnie nie leżącą na płaszczyźnie aktualnych przemian. Lepiej zawczasu machnąć na nią ręką, a wtedy...

Wtedy będzie po staremu. Będą „pasterze i owieczki", a dla wsi „dawne, dobre czasy". Trochę jałmużny i wieś bez irytujących nowotworów językowych — elektryfikacji, maszynizacji, telefonizacji. I bez współzawodnictwa.

Ale pomyliliście się, panowie, w obrachunku. Zapytajcie o to któregoś z sołtysów w gminie Bąków. Możecie nawet zatelefonować, tak nie daleko są dziś od was.

K. P.

Wakacyjne praktyki zagraniczne

Przed wojną istniała Liga zbliżenia międzynarodowego młodzieży akademickiej. Jednym z punktów programu współpracy były oczywiście wzajemne zagraniczne wyjazdy. Wyjeżdżali od nas akademicy trochę podobnie, jak to się działo z dyplomatyczno - kulturalnymi ekspedycjami, opisanymi przez Iwaszkiewicza w „Nowelach Włoskich". Byli to zazwyczaj faceci o „dobrej prezencji i manierach", środowiskowo — arystokraci lub ich kibice. Społecznie — „cudzoziemcy" we własnym narodzie.

W rozmowach, jakie w Czechosłowacji miałem z Czechami, Bułgarami i Jugosłowianami, wracało często zagadnienie, jak mało wiedzą wzajemnie o sobie narody słowiańskie. Jak bardzo trzeba tę wiedzę udostępnić masom ludowym.

W roku bieżącym wyjedzie do różnych krajów kilkuset naszych akademików na tzw. praktykę wakacyjną. Na ile się orientujemy, duży głos w wyborze kandydatów miały zarządy akademickiej wymiany zagranicznej studentów. Wiemy, że firmy tych zarządów są ludowe i zdemokratyzowane, ale nie bardzo wiemy, kto pojedzie w wyniku selekcji tych zarządów? Jakie były kryteria wyboru? Po trzech latach można już mówić **o przodowniczej intelektualnie**, wybitnie **wyróżniającej się młodzieży akademickiej**. Widać to na seminariach, w pracowniach, w prasie technicznej i literackiej. Pojedzie przecież tak mała garść studentów, że muszą oni być **uszami i oczami narodu.** Nie przeciętny politechnik, nie przeciętny medyk, czy humanista. Ale ci, którzy wnosili już do Ministerstw projekty organizacji zdrowia w Polsce, projekty przebudowy wsi i miasteczek, projekty nowych form organizacji fabrycznej, nowych metod badań humanistycznych. Z jednej strony wyprawą za granicę mamy obowiązek ich możliwości społeczno-twórcze wzbogacić, z drugiej strony ich obserwacje będą najcenniejszymi z możliwych obserwacji, ich publiczne sprawozdania oparte o autorytet przodownictwa intelektualnego wśród kolegów — najciekawsze i najbardziej gruntowne.

Krótko mówiąc, w stosunku do wyjeżdżających akademików za granicę na praktykę wakacyjną stawiamy takie warunki:

1) nie może to być sprawa tylko wewnętrzno-prywatna, ani uniwersytetu, który wysyła, ani studenta, który wyjeżdża.

2) oczekujemy zarówno od humanistów jak i techników sprawozdań (a jest w tym zakresie wcale dobra tradycja — referat Judyma o stanie technicznym i społecznym medycyny we Francji).

3) sprawozdania te winny być, jak najszerzej upublicznione i spopularyzowane: w pismach fachowych, literackich, codziennych, w kołach naukowych studenckich, seminariach, publicznych odczytach.

Zobaczymy po tych sprawozdaniach, kogo w tym roku wysłano za granicę. Wyjazdy na drugi rok stać się muszą sprawą ważną, wymagającą przygotowań całorocznych. Nie ci, co chcą wyjechać będą tu na pierwszym planie, ale ci, co powinni. I tych to z seminariów, instytucji i pism trzeba będzie zapraszać w dowód uznania ich osiągnięć naukowych i dla pogłębienia tych osiągnięć.

P. Ch.

Troski tyg. „Dziś i Jutro"

Spotkałem kiedyś przed wojną staruszka — legitymistę tak zaciekłego, że wszystkich nielicznych już wtedy „władców" kontynentalnych uważał za uzurpatorów. Próbował mi nawet dowodzić, biadając nad upadkiem legalnej władzy, że zło zaczęło się od rewolucji francuskiej i Napoleona.

Podobnie niewdzięcznego zadania podjęło się **„Dziś i Jutro"**, zamieszczając tłumaczenie artykułu Jana Papiniego **„Antykościół"**.

Jan Papini ma pretensję do historii, ściślej do wieku siedemnastego, kiedy to, jak twierdzi — ukształtowały się główne dogmaty „Antykościoła", a więc przestano traktować Objawienie, jako sprawę poważną i widziano prawdziwe przeznaczenie człowieka nie w niebie i w wieczności, ale na ziemi, w granicach czasu.

To „banda Voltaire'a i Holbacha wystąpiła przeciwko Rzymowi i przeciw Niebu". Czytelnik z przyjemnością notuje tę identyczność interesów, która u nas bywała rozciągana nawet na plebańską dziesięcinę — i ze szczerym zainteresowaniem brnie dalej, by dowiedzieć się dokładniej na czym polegała instytucja Antykościoła.

Po pierwsze: wiek siedemnasty miał czelność twierdzić, że „człowiek rodzi się jako istota dobra z natury"; po drugie: „ludzkość, dzięki wyzwoleniu myśli i odkryciom naukowym zdąża coraz śpieszniej i nieomylnie w kierunku coraz większego postępu"; po trzecie: „w najbliższej przyszłości będziemy się cieszyć rajem na ziemi i tylko na ziemi".

Nazywa Papini te twierdzenia „Antykościoła" dogmatami sprzecznymi z nauką Kościoła o grzechu pierworodnym, o prawdziwym postępie, który jest postępem moralnym, wewnątrz ludzi, i o ziemi jako tylko ciasnym przedsionku wieczności.

Słówko „dogmaty" stosuje Papini na określenie postawy wieku siedemnastego, by tym łatwiej i z większym hałasem ją obalić, acz wielkodusznie rezygnuje z pomocy apologetyki katolickiej, powołując się na wyniki doświadczenia historycznego, na nieuzgodnione odpowiedzi **„uczonego, satanisty i schizmatyka"**. Uczonym jest Zygmunt Freud, który jakoby nauką o podświadomości pogrzebał raz na zawsze mit głoszony przez Rousseau'a o pierwotnej dobroci człowieka.

Satanistą, i schizmatykiem chyba, jest Baudelaire, autor **„Litanii do Szatana"**, który wg. Papiniego autorytatywnie swierdza: „Jedyny, prawdziwy postęp polega na zmniejszeniu śladów grzechu pierworodnego".

Czy Papini (oraz **„Dziś i Jutro"**) nie poszkapili się zbytnio posługując się takimi świadectwami na udowodnienie swojej tezy, że człowiek jest z gruntu zły i wobec tego należy go czym prędzej oddać pod kuratelę Rzymu i plebana, którzy — jak mówi historia papiestwa i jego władzy nad Europą — dokładnie dowiedli, że ziemia może być nader ciasnym, diablo ciasnym, choć nie w tym samym stopniu dla kleru, co dla chłopów, przedsionkiem wieczności? Co do tego mamy nawet więcej pewności, niż co do istnienia nieba albo piekła.

Następnie. Tylko w obrębie myśli świeckiej odrzucającej Objawienie możliwe jest rewidowanie i obalanie poglądów, w ogóle antydogmatyczna postawa wobec czyichkolwiek twierdzeń; brak jej za to w kościele. Artykuł więc Papiniego może być wyrazem tęsknoty zrozumiałej u człowieka, który niedawno wrócił na łono Kościoła do „dogmatycznej drzemki".

Wreszcie — któż, kto nie wierzy w Objawienie może uwierzyć w satanizm Baudelaire'a, nawet gdyby nie pamiętał, że to poeta. W szatana wierzą tylko ludzie pokroju Papiniego.

Odległe **wczoraj** — jak szydło z worka — wylazło z tygodnika noszącego nazwę **„Dziś i Jutro"**.

Chyba, że takie **jutro** urzeczywistni się w wieczności.

E. F.

ADMINISTRACJA „WSI"

ZAWIADAMIA, ŻE SĄ DO NABYCIA ROCZNIKI „WSI" W OPRAWIE Z ROKU 1947.

CENA ROCZNIKA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOSI ZŁOTYCH 1.500.—

W OSTATNIM NUMERZE 22 (151) Z DNIA 30 MAJA 1948 R.

Dyzma Gałaj — Ewolucja ludowca; **Jan Maria Gisges** — Na targu; **Listy polityczne** — Polityka moralności; **Alina Nofer** — Od „Lata" do „Szekspira"; **Lech Budrecki** — Poza nauką? **Anna Kamieńska** — Wiersze — W ogrodzie — Na pytanie jak się ubieram na wiosnę; **Wiktor Woroszylski** — „Otelio" i historia; **Wiesław Jażdżyński** — Szkoła przyszłości; **Witold Łukaszewicz** — Towarzystwo Demokratyczne Polskie; **Józef Pogan** — Typy wiejskie; **Józef Kapuściński** — Lichwa i lichwiarze; **Teodor Rosiecki** — Nowy werkmistrz; **Kazimierz Podlasiak** — „Worek z kartoflami"; **Piotr Chmura** — W sprawie publicystyki; **Jerzy Falenciak** — Elementarz historii; Fakty i zdania; Komunikaty; 10 ilustracji; 12 stron.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Krót.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-38.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-38.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60,— zł, kwartalnie 180.— zł, półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto P K O ŁÓDŹ VII — 1080
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—026140